

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 494·— Marek, Półrocznie 998·— Mk. Rocznie 1976·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.
Zmiana adresu 1 Markę.
Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petitowy w części redakcyjn. 50 Mp.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 40 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 10 września 1921. Nr. 37.

Matka dekoruje swojego syna



Pani Outin, kawaler Legii honorowej ozdabia w Landerneau (Francya) piersi swego syna odznaką za waleczność.

Matka dekoruje swojego syna.

(Do illustracyi tytułowej).

Plac miejski w Landerneau w departamencie Finistere we Francyi był w ubiegłym miesiącu widownią niezwykłego, a głęboko wzruszającego wydarzenia. W dniu 13 sierpnia odbyć się miała uroczystość wręczenia odznak honorowych za waleczność oficerom i żołnierzom tamtejszej załogi. W dzisiejszych czasach nie jest to nic nadzwyczajnego, w ciągu bowiem wojny światowej spotykaliśmy się z czemś podobnem bardzo często, uroczystość przecież, jaka się tamże odbyła, różniła się tak wybitnie od wszystkich jej podobnych, iż obudziła ogólne zainteresowanie nie tylko w samej Francyi, ale i poza jej granicami, dokąd rozeszła się wiadomość o tem niezwykłem wydarzeniu. Oto matka, która, gdy ojczyzna była w niebezpieczeństwie wysłała swych synów na obronę jej granic, dziś gdy wrócili zwycięzcami, własnoręcznie ozdobiła piersi jednego z nich przyznaną mu przez przełożone władze odznaką waleczności.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie uczucia musiały przejmować serce tej kobiety w chwili, gdy w zastępstwie dowódcy odznaczała tego, któremu dała życie, nauczyła go kochać ojczyznę i pełnić gorliwie z narażeniem nawet życia swe obowiązki obywatelskie. A syn pozostał wiernym wszczepionym mu przez matkę ideałom i dziś stanął przed nią, aby z jej rąk odebrać dowód uznania za poświęcenie i męstwo. Dla obojga była to chwila nigdy nie zapomniana, a tak wzruszająca, iż wielu z obecnych miało łzy w oczach. Była to nagroda dla obydwojga, dla matki, iż wychowała takiego syna, dla syna, iż został wiernym zasadom, jakie w duszę jego wpajała od pierwszych lat jego dzieciństwa.

W dniu 13 sierpnia, w którym miała się odbyć uroczysta dekoracya bohaterów, na placu w Landerneau zgromadziła się załoga i tłumy publiczności. Bezpośrednio przed aktem dekoracyi zjawiła się karetka Czerwonego Krzyża, z której wysiadła pani Outin, przybyła w celu własnoręcznego ozdobienia swego syna odznaką za waleczność.

Pani Outin jest kawalerem Legii honorowej, którą uzyskała za zasługi, położone w ciągu wojny, kiedy jako współpracowniczka Czerwonego Krzyża, z bezgranicznem poświęceniem oddawała się pielęgnowaniu chorych i rannych. Równocześnie dwaj jej synowie walczyli na froncie i obaj odznaczyli się takiem męstwem, iż przyznano im dekoracye za waleczność i nadzwyczajny awans. Jednego z nich pierś ozdobiła matka w Landerneau, drugiego dekorowano równocześnie w Reims.



Stała opera w Krakowie: Członkowie komisyi, odbierającej dawny budynek Teatru Ludowego, przebudowany obecnie i oddany na użytek opery, pp.: kierownik Gazowni m. B. Mrożek, przedstawiciel Starostwa grodzkiego Bocheński, naczelnik Straży poż. Obidowicz lekarz m. dr. St. Gulski, St Poleński, kierownik przebudowy inż. Z. Nowicki radca magistratu dr. T. Kannenberg, E. Bujański.



Nowe dzieło Styki: „Polska oswobodzona", płótno, wystawione w roku bieżącym w Salonie paryskim.

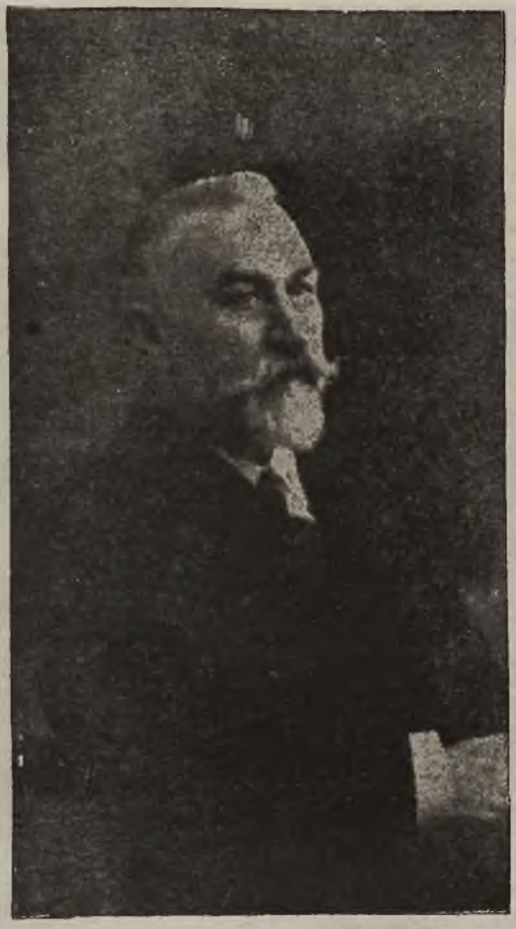
Stała opera w Krakowie.

Miłośnicy muzyki w wyższym stylu dokładali oddawna starań celem powołania do życia w Krakowie stałej opery. Zabiegi ich rozbijały się o nieprzezwyciężone trudności, ostateczny cios zadała im wojna. Dopiero obecnie, po powrocie do normalnych stosunków zdołano dzieło przy wybitnej pomocy gminy doprowadzić do zrealizowania. Mamy zatem w Krakowie stałą operę, połączoną z operetką, którą uważa się za złe konieczne, samej operze nie szkodzące, a przyczyniające się z natury rzeczy do uchronienia się od kłopotów finansowych, związanych stale z podobnem przedsięwzięciem. Pomieszczenie znalazł nowy przybytek Muz w dawnym budynku Teatru ludowego przy ulicy Rajskiej, który pod fachowem kierownictwem radcy budownictwa inż. Z. Nowickiego odpowiednio rozszerzono i przebudowano.

Utworzenie w Krakowie stałej opery to zasługa głównie naszego Towarzystwa operowego, które przez kilka sezonów z rzędu prowadziło w Krakowie sezon operowy, powstaniu stałej naszej opery stawało na przeszkodzie brak pomieszczenia, a przykre doświadczenie jakie zrobiono we Lwowie, zniechęcało do połączenia jej z miejskim teatrem im. Słowackiego. Przed dwoma laty zaczęto mówić o budowie gmachu na ten cel, zamiar jednak z powodu braku odpowiednich funduszów na pokrycie kosztów budowy, dochodzących do trzydziestu milionów marek, spełzł na niczem. Najodpowiedniejszym w tym celu wydawał się Rynek Kleparski, który dziś zaniedbany, zyskałby prawdziwą ozdobę, a skorzystałaby na tem cała dzielnica, gdyż parter budynku zajęłyby sklepy, co znacznie przyczyniłoby się do ożywienia ruchu. Projekt ten zostanie zapewne z czasem w czyn wprowadzony, na razie opera i operetka mieścić się muszą w budynku przy ulicy Rajskiej, który miasto na ten cel wydzierżawiło Towarzystwu operowemu na bardzo przystępnych warunkach na lat dziesięć i przyczyniło się znaczną subwencyą do uruchomienia pięknego przedsięwzięcia.

Spełniły się zatem marzenia muzykalnego Krakowa, aby mieć własną stałą operę, prowadzoną z zamiłowania do sztuki, a nie dla interesu.

„Miejski Teatr: Opera i operetka“ rozpoczął zatem pierwszy rok swego istnienia pod kierownictwem artystycznem tak wybitnych sił, jak pp. Bolesław Wallek Walewski (opera) i Stanisław Poleński (operetka). Kierownictwo administracyjne spoczywa w ręku p. Eugeniusza Bujańskiego. Zapobiegliwej dyrekcyi udało się pozyskać na stałe wybitne siły tak w zakresie opery, jak i operetki i baletu, po za tem zapewniła sobie gościnne występy najwybitniejszych sił wokalnych, tak naszych, jak i zagranicznych. Przedsiębiorstwo stanęło zatem zaraz od pierwszej chwili, jak to powiadają „na silnych nogach“, mając za sobą kilkoletnie doświadczenie, czego Kraków żąda i co mu dać należy.



Z żałobnej kroniki Uniwersytetu lwowskiego: S. p. dr. Bolesław Mańkowski, dyrektor Biblioteki uniwersyteckiej i kierownik Instytutu pedagogicznego.
Fot. M Münz, Lwów.

Sezon obecny zainaugurowano w dniu 3. września „Hrabiną“ Moniuszki, przyjętą entuzyastycznie tak przez krytykę, jak i publiczność, która wypełniła salę po brzegi, dając dowód, że Kraków potrzebował opery i że może ona u nas liczyć, umiejętnie prowadzona, na poparcie ogółu i powodzenie. Zachęci to może interesowanych do pomyślenia o daniu podstaw do przystąpienia budowy specyalnego na ten cel gmachu, co łatwo dałoby się zrealizować przez powołanie do życia towarzystwa akcyjnego, rozporządzającego znaczniejszym kapitałem, któremu gmina z pewnością pospieszyłaby z pomocą, ofiarując na ten cel odpowiedni grunt.

W każdym razie pierwszy początek już zrobiono i to pod dobrą wróżbą.

Nowe dzieło Styki.

Osobą i twórczością Jana Styki zajmuje się stosunkowo bardzo mało polskie społeczeństwo, choć zasługuje na to daleko więcej, niż niejeden z przeciętnych talentów, pasowanych przez usłużną krytykę na mistrzów. Dzieje się to być może dlatego, iż przebywa stale za granicą, tam tworzy prawdziwe dzieła sztuki, tam je wystawia i tam zbiera laury. Nazwisko jego znane jest dobrze miłośnikom sztuki na obu półkulach i, kto wie, czy nie lepiej, niż niejednemu z naszych, który o Styce wprawdzie słyszał, ale zbyt wiele o nim nie potrafiłby ani powiedzieć, ani napisać.

Prasa nasza i jej sprawozdawcy artystyczni przeszli też prawie milcząco do porządku dziennego nad nowem dziełem pędzla Styki, wystawionem w bieżącym roku w Salonie paryskim, gdy natomiast zagraniczne pisma zajmują się niem bardzo żywo, oddając zasłużone pochwały twórczości i geniuszowi artystycznemu polskiego mistrza. Jest to płótno większych rozmiarów, przedstawiające Polskę wyzwoloną, kruszącą krępujące ją okowy, obok niej tych, którzy jej do tego dopomogli, to jest przedstawicieli wojsk koalicyjnych i legiony polskie pod wodzą Naczelnika Piłsudskiego. U stóp pokonane czarne orły i biały orzeł tryumfujący, a w obłokach postaci naszych wielkich bohaterów narodowych witających odrodzenie Ojczyzny. „Polska oswobodzona“ to dzieło sztuki pierwszorzędnej wartości artystycznej i jako takie uznane przez zagraniczną fachową krytykę.

Jest to zarazem jeden dowód więcej, iż Styka, choć przebywający poza granicami kraju, pozostaje z nim w ścisłej łączności duchowej i bierze żywy udział we wszystkich przejawach naszego życia narodowego. W rocznicę grunwaldzką pospieszył z gotowością uświetnienia obchodu panoramą Grunwaldu, co jednak nie doszło do skutku dzięki naszej prawdziwie prowincyonalnej kołtuneryi i zbyt przesadnej lojalności, aby przypadkiem nie urazić berlińskiego sojusznika. Odrodzenie Polski wita Styka nowem dziełem, które, niestety, poznajemy dopiero przy pomocy zagranicy.

Z żałobnej kroniki Uniwersytetu lwowskiego.

Lwowski Uniwersytet imienia króla Jana Kazimierza okryła ciężka żałoba, która smutnem echem rozeszła się po całym kraju, po którym rozproszeni są byli słuchacze tamtejszego Wydziału filozoficznego. W dniu 26 sierpnia b. r. zmarł we Lwowie znany szeroko w polskich i zagranicznych kołach naukowych, długoletni dyrektor lwowskiej Biblioteki uniwersyteckiej i kierownik Instytutu pedagogicznego na Wydziale filozoficznym, śp. prof. dr. Mańkowski.

Sp. profesor Mańkowski położył główne zasługi na polu naszej pedagogii, kierując sumiennie i skutecznie długie lata Instytutem pedagogicznym na Wydziale filozoficznym, którego zadaniem przygotowanie młodzieży do objęcia obowiązków nauczycielskich w szkołach średnich. Tysiące ich opuściło w tym czasie mury lwowskiej Wszechnicy, roznosząc po całym kraju prawdziwą cześć dla swojego kierownika, żywą wdzięczność za jego starania około rozwoju naszego średniego szkolnictwa i uznanie dla głębokiej wiedzy i prawdziwie mrówczej pracowitości. To jedno stanowisko dało śp. prof. Mańkowskiemu prawo do wdzięczności całego polskiego społeczeństwa. Sprawie wychowania publicznego oddany całą duszą, interesował się bardzo żywo wszelkimi jego przejawami, starając się wszelkimi siłami o zdobycie dla jego kierowników takiego uznania tak moralnego jak materyalnego, na jakie sobie zasługują. W pracach Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych brał do ostatnich chwil gorliwy udział, redagując jego organ „Muzeum“.



Groźba wojny austryacko-węgierskiej: Regent węgierski admirał Horthy w towarzystwie hrabiego Apponyiego oraz arcyksiążąt Józefa i Józefa Franciszka

„W śp. Zmarłym traci polskie nauczycielstwo szkół średnich jednego z najgorliwszych i najsumienniejszych swych kierowników, oraz niestrudzonego orędownika swych interesów, dążącego stale do podniesienia jak najwyżej godności stanu nauczycielskiego.“

Nierównie wielkie zasługi dla nauki polskiej położył śp. prof. Mańkowski na stanowisku dyrektora lwowskiej Biblioteki uniwersyteckiej, którą kierował długie lata, doprowadzając ją do stanu prawdziwego rozkwitu, mimo ciężkie warunki, w jakich mu pracować przyszło.

Na wieść o śmierci śp. Bolesława Mańkowskiego zebrał się Senat akademicki Uniwersytetu na żałobne posiedzenie, na którem uchwalono wziąć *in corpore* udział w pogrzebie i złożyć Wdowie wyrazy współczucia. Tegoż dnia po południu zebrała się na posiedzenie żałobne Rada Wydziału filozoficznego. Dziekan poświęcił śp. Zmarłemu gorące słowa pamięci, roztaczając obraz jego życia i działalności i uwydatniając jego wybitne zasługi, poczem uchwalono wystosować imieniem Rady wydziałowej pismo kondolencyjne do Wdowy, a sprawą trwałego uczczenia pamięci Zmarłego zająć się z początkiem roku akademickiego.

Zarząd okręgu T. N. S. W. z powodu śmierci śp. Bolesława Mańkowskiego, dobrze zasłużonego członka Towarzystwa i długoletniego redaktora *Muzeum* odbył nadzwyczajne posiedzenie celem uczcze-



O rozwój naszego rękodzieła: Uczestnicy Kursu stolarskiego urządzonego w Krakowie staraniem Kraj. Patronatu i Muzeum Techn. przem. z swymi kierownikami i dyrektorem Muzeum, Torem.



O rozwój naszego rękodzieła: Uczestnicy i kierownicy Kursu szewskiego urządzonego przez krakowskie Muzeum Techn.-przem.

nia pamięci Zmarłego. Po zagajeniu przewodniczącego p. Ujejskiego, którego obecni wysłuchali stojąc, uchwalono wydać klepsydrę, wezwać wszystkich we Lwowie obecnych członków Towarzystwa do wzięcia udziału w pogrzebie, złożyć Wdowie wyrazy współczucia, przeznaczyć 5000 Mk. zamiast wieńca na fundusz im. Mickiewicza i umieścić w lokalu Towarzystwa portret śp Zmarłego.

Groźba wojny austryacko-węgierskiej.

(Do illustracyi na str. 3).

Na świecie dzieją się dziś rzeczy, o których naprawdę nawet filozofom się nie śniło. Gdy na początku światowej wojny zmieniono herb monarchii habsburskiej, łącząc w nim znaki austryackie i węgierskie pod dewizą: *Indivisibiliter ac inseparabiliter*, nikt nawet nie przypuszczał, że zaledwie kilka lat upłynie a Austrya i Węgry rozpadną się. Jeszcze dziwniejsze, że były cesarz austryacki i król węgierski, który zdawał się być bożyszczem dla swych niemieckich poddanych, a na Węgrzech, spotykał się z opozycyą, pójdzie tak rychło w zapomnienie u swych Austryaków, będąc natomiast jednym z najpoważniejszych kandydatów na tron węgierski, popieranym przez większość narodu.

Obecnie republika austryacka i węgierska stoją prawie w przededniu wojny ze sobą, a powodem



Na ostrzu miecza: Król angielski Jerzy dokonuje przeglądu warty honorowej w Belfaście.



Na ostrzu miecza: Prezydent republiki irladzkiej, de Valera, odczytuje deklaracyę na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA [illegible]TOCZYSKA

57

I.

Najprzód przycisnęła czoło do szyb i miałem wrażenie przez chwilę, że tak jak dawniej wpatruje się w morze. Tyle razy widziałem ją w tej pozycyi podczas pięknych, pogodnych dni, zapatrzoną w fale szemrzące u stóp naszej willi! Wkrótce jednak poruszyła się niespokojnie i machinalnym, jak gdyby bezwiednym ruchem nacisnęła klamkę szklanych drzwi. Ciężkie westchnienie wybiegło wówczas z jej piersi. Łudziłem się jeszcze, że przyszła tu, pociągnięta pragnieniem odetchnięcia świeżem, orzeźwiającem powietrzem, napływającem od morza.

Noc była ciemna, ale spokojna. Łagodny wietrzyk dął od morza. W otwartych drzwiach balkonu postać Maryi odcinała się długą, białą plamą. Zdawało mi się, że wsparła rękę na poręczy żelaznej i pochyliła się trochę naprzód.

Stałem jeszcze na środku pokoju, nie śmiejąc się poruszyć wbrew jej życzeniu.

I oto nagle biała, długa plama znikła zupełnie w ciemnościach. Jednym nagłym, szybkim jak błyskawica ruchem Marya rzuciła się w próżnię!...

Usłyszałem tylko głuchy łoskot jej ciała, padającego na ziemię.

Oh! Ranieri! to było straszne. Uczułem okropny, dojmujący ból w głowie i zdawało mi się, że tracę przytomność! Trwało to na szczęście tylko parę sekund, poczem jak szalony podbiegłem do balkonu i tam na dole dojrzałem nieruchomą, dużą, białą plamę... Jeżeli w tej samej chwili nie rzuciłem się sam za nią, to chyba zawdzięczać to mogę jakiemuś przebłyskowi rozumniejszej myśli, że może Marya żyje jeszcze...

Przebiegłem nieprzytomny dom cały, wołając, krzycząc o pomoc, roztwierając z trzaskiem wszystkie drzwi willi. Za mną biegła panna służąca i lokaj i doktór, który właśnie był nadszedł w tej chwili i w kilku skokach znalazłem się na małym skwerze, znajdującym się przed domem. Znaleźliśmy Maryę leżącą bez ruchu pod balkonem...

Nie żyła już! Wielka kałuża krwi sączyła się z jej pięknych włosów, plamiąc białą suknię.

Oh! Ranieri, ona już nie żyła!...

Dwie minuty może zaledwie straciłem, przebiegając pokoje willi. Z mojej ukochanej Maryi pozostał mi tylko trup skrwawiony!...

I kiedy wyłem z rozpaczy przy jej zwłokach jak zwierzę, dotknięte śmiertelnie, dobiegł mnie nagle od strony morza ostry wybuch szatańskiego śmiechu! Śmiech ten słyszeli wszyscy, Ranieri! Powstałem i spojrzałem w stronę morza i pomimo ciemności dostrzegliśmy łódź rybacką, oddalającą się szybko od brzegu. Na przodzie łodzi stał mały, przygarbiony człowiek. Poznałem w nim natychmiast Markusa Hennera!

Powinienem był rzucić się w morze, dopaść go, rozedrzeć zębami, rozćwiartować w kawałki tego ohydnego mordercę mojej Maryi — nieprawdaż?

Ale czy mogłem opuścić to biedne, skrwawione ciało, to jedno, co mi pozostało z istoty ukochanej przeze mnie. Czy mogłem ją tu zostawić, samą, na obcem, pustem wybrzeżu jedynie pod opieką ludzi obcych i płatnych? Dwa razy jeszcze wśród ciemności nocy dobiegł nas ten szatański, okropny śmiech. W ten sposób musi wyć hyena, nasycona krwią swoich ofiar... A później łódź znikła zupełnie w ciemnej mgle, unoszącej się nad morzem...

Sam, Ranieri, obtarłem z krwi te piękne włosy, które przed chwilą jeszcze okrywałem gorącymi pocałunkami. Nie pozwoliłem dotknąć jej nikomu. Sam umyłem i ubrałem bezwładne ciało mojej ukochanej i ułożyłem na posłaniu z kwiatów, a potem pozapalałem świece w tym pokoju, gdzie tyle godzin spędziliśmy w rozkoszy i upojeniu bez granic. I sam czuwałem przy drogiej mojej zmarłej, płacząc i całując zimne jej oczy. Czy uwierzysz Ranieri, że rozpacz moja znajdowała pewne ukojenie w tych staraniach około jej zwłok? Czuję, że gdybym był nie mógł oddać jej tej ostatniej posługi — musiałbym oszaleć z bólu, lub też odebrać sobie życie.

Odebrać sobie życie!? O! tak rozmyślałem nad tem noc całą, czuwając obok tajemnicy tej tragicznej, niezrozumiałej dla mnie śmierci!

Czy miałem prawo żyć dalej, teraz, kiedy jedyną istotę ukochaną przezemnie utraciłem na zawsze?

Czy żyć mogłem? Długo stawiałem sobie to pytanie, wpatrzony w stygnące zwłoki mojej Maryi, całując jej oczy i usta zimne. Oh! Ranieri! Ileż ona odebrała odemnie pocałunków w tem ostatniem, rozdzierającem pożegnaniu!

Mówią, że człowiek, składający pocałunki, pełne namiętności i miłości na ustach zmarłej kobiety, obarcza grzechem ciężkim swoją duszę. Oh! Ranieri, czy ja mogłem wówczas myśleć o tem. A ona, to biedactwo moje drogie, więc umarła potępiona według zasad naszej wiary, skoro do ostatniej chwili ziemska miłość rządziła w jej duszy? Ale jakże ona cierpiała! Ileż łez wylała w ciągu smutnego swojego życia! I ileż pokut i modłów odprawiła, aby w nich znaleźć pocieszenie!

Dzięki Markusowi Hennerowi biedna moja Marya odbyła już dostateczny czyściec na ziemi.

Zresztą powiem Ci Ranieri, że zawsze wierzyłem w miłosierdzie Boga względem grzechów popełnionych z miłości prawdziwej, za które pokutuje się już najczęściej jeszcze przed śmiercią.

Marya! moja droga, słodka Marya, miałaby umrzeć w stanie potępienia. Umarła jak samobójczyni! Ale czy ona „naprawdę“ odebrać sobie życie chciała! Przecież była teraz tak szczęśliwa i tak kochała mnie gorąco! Pragnęła tak powrócić do straconej młodości swojej, aby mnie móc kochać dłużej i silniej jeszcze! Samobójstwo! Nie! to nie było samobójstwo, Ranieri! Czy to nie było prędzej morderstwo!? Czy nie była ona raczej uległą czyjemuś rozkazowi? Czy ktoś nie zniszczył, nie uśpił jej woli i energii? Czy nie walczyła może z jakąś ukrytą siłą tej okropnej, niezapomnianej nocy... walczyła, bo umrzeć „nie chciała“... a w końcu pokonaną została. Oh! Ranieri! Ranieri! Całą grozę tej niespodziewanej śmierci widzę jeszcze teraz jak na jawie!...

Trzeciego dnia umieściłem zwłoki mojej Maryi w trzech sprowadzonych trumnach, jednej z ołowiu, drugiej z drzewa, a trzeciej z aksamitu i pochowałem ją na małym, pełnym kwiecia cmentarzu w Coves. Tak! Nic innego nie pozostawało mi do czynienia. Lecz po dokonaniu wszystkiego, co tylko podszepnąć mi mój kult, by uczcić godnie pamięć mojej drogiej zmarłej, pozostawał mi drugi, święty obowiązek — obowiązek zemsty! Musiałem uwolnić świat od tego nikczemnego potwora! Ten garbus przeklęty musiał zginąć z mojej ręki! Nie w pojedynku, bo pojedynek odbywa się pomiędzy ludźmi szlachetnej rasy, a on był tylko najnędzniejszym z morderców! Nie miałem jednak zamiaru zamordować go podstępnie, bo by to był uczynek podły, lecz w biały dzień, otwarcie, w obliczu słońca, własnemi rękoma, zdusić w nim życie, patrzeć na jego długie cierpienia, naigrawać się z nich, a w końcu plunąć mu w twarz z pogardą!

Przy zwłokach Maryi w tę pierwszą, okropną noc czuwania przysiągłem sobie to uczynić wcześniej czy później, przysiągłem zadośćuczynić pragnieniu mojej zemsty, przysiągłem odnaleźć go choćby na końcu świata!

Przysiągłem raz jeszcze później, całując ziemię, pod którą spoczywała moja ukochana, że wyjadę niezwłocznie z Coves i jak pielgrzym zemsty, przebiegać będę wszystkie kraje, oddając na ten cel czas mój, zdrowie i majątek, by tylko móc wywrzeć zasłużoną karę na tym nięcnym zbrodniarzu!

Po trzykroć przysięgę tę złożyłem nad zwłokami Maryi i odtąd nie żyłem już dla siebie, nie byłem już niczem więcej, tylko mścicielem, dążącym do jednego celu.

Po złożeniu tej strasznej przysięgi, po uspokojeniu się mojej wściekłości i rozpaczy, oddałem się przez dwa dni następne kultowi zwłok mojej drogiej zmarłej. Nie pozwoliłem nikomu zbliżyć się do niej. Sam, własnoręcznie ułożyłem w trumnie aksamitnej, i ucałowałem po stokroć razy zanim zdecydowałem się przymocować wieko. W godzinę później, pchany jakiemś niezwalczonem pragnieniem, raz jeszcze otworzyłem trumnę, by spojrzeć na jej twarz uwielbioną. Nie była wcale zmienioną i zachowała jeszcze wyraz pogody i słodyczy, pełnej powagi.

Następnie przy pomocy dwóch moich służących zamknąłem ją w ostatniej, ołowianej trumnie, wyniosłem na katafalk żałobny i pozostałem przy niej aż do chwili, w której grób jej usypano i przybrano najpiękniejszymi kwiatami.

Ale wiesz, Ranieri, pozostała mi prawie żywa pamiątka po niej. Jeden z jej długich warkoczy, czarny, który raz w miłosnej pieszczocie owinęła wokoło mojej szyi, nazywając mnie niewolnikiem swoim. Odciąłem ten warkocz, który trzymam zawsze przy sobie jako skarb i relikwię najdroższą i nawet po śmierci nie pozwolę się rozłączyć z nim.

Ranieri, ileż ja nocy przepędziłem bezsennie! Byłem jak szalony! Wołałem na cały głos Maryi, wstawałem z łóżka, biegałem po willi w napadzie nieprzytomnej rozpaczy, oblewając gorącemi łzami jej włosy, jedyną rzecz, która mi po niej pozostała, gryząc je, by stłumić płacz i jęki, wybiegające z mej piersi.

Pozostałam i jednak druga pamiątka po Maryi, i wiem, że Ty, Ranieri, odczujesz zaraz, co to jest. Zachowałem ten przedmiot dla mnie tak cenny, ten przedmiot dziwny, który obudziwszy i rozpaliwszy najprzód moją wyobraźnię, wywołał u mnie tę śmiertelną namiętność, od której zginę zapewne. Bo przecież wiesz już, że ta ręka cudna, okryta cennymi klejnotami, pozostawiona przez Markusa Hennera w przedziale wagonu, należała do Maryi.

Nie dziw się Ranieri. Mówiłem ci już, że w tę noc fatalną, w której uwolniłem Maryę z jej więzienia, to jest wówczas, kiedy ją ujrzałem po raz pierwszy, zdawało mi się, że posiadała obydwie ręce nienaruszone. I w chwili tej, chociaż wyobraźnia moja doznała pewnego rozczarowania, uczułem, że kocham już Maryę taką, jaką jest. Zapewne wyobraźnia dużo wpływała na miłość moją, lecz w tym momencie rzeczywistość okazała się silniejszą, choć najżywszej wizyi i zapomniałem o wszystkiem, o obecności tej najsłodszej istoty, idącej do mnie pod naporem bolu i miłości. W jakiś czas później dopiero poznałem tajemnicę tej uciętej ręki. Ta ręka, będąca w mojem posiadaniu, należała do niej. Nie będę Ci opisywał, jak i dlaczego odciętą została. List mój jest już az zanadto długi. Zresztą czuję się bardzo zmęczonym. Jeżeli opis miłości mojej i opis śmierci Maryi użył trochę mojemu bólowi, niemniej wyczerpał on mnie silnie.

Wierz mi, mój przyjacielu, jestem teraz jak drzewo, nagle rażone piorunem, którego korzenie tkwią jeszcze silnie w ziemi. Ale wszystkie liście i kwiaty opadły już z niego na zawsze i nigdy już więcej wiosna nie rozpali w pniu uschniętym soków jego zniszczonych.

Z listu, a właściwie ze spowiedzi Markusa Hennera, którą Ci posyłam równocześnie, dowiesz się strasznej tajemnicy uciętej ręki. I dowiesz się Ranieri jeszcze o jednej rzeczy, dowiesz się, dlaczego ja, który przysiągłem poświęcić życie moje pomszczeniu Maryi, nie zabiłem Markusa Hennera. I zrozumiesz, że po tem, co ten potwór napisał, ja już nie mam co robić na tym świecie.

Widziałem ginącą w moich oczach istotę, którą kochałem ponad wszystko i nie mogłem nic temu zaradzić — musiałem patrzyć na jej mękę, a potem na jej śmierć, nie mogąc znaleźć dla niej ratunku żadnego. Całe moje przeżycie miłosne było tak intensywne i tak głębokie, że wydaje mi się, iż przeżyłem sto lat w tych dniach trzydziestu. Zdaje mi się, że jestem już starcem niedołężnym, mającym tylko jedno, jedyne pragnienie — pragnienie śmierci. Marya moja nie żyje! Marya moja umarła prawie w ramionach moich, jeszcze ciepła od moich pocałunków i pieszczot i ja nie mogłem zapobiedz jej śmierci. Czy byłem złym kochankiem, Ranieri? Zdaje mi się, że tak, bo Bóg, aby mnie ukarać, pozbawił mnie jedynej radości, jaka mi pozostawała. Pozbawił mnie rozkoszy wywarcia swojej zemsty! Nie mogłem, Ranieri, zabić tego, który zamordował moją Maryę! Co dalej czynić będę? Nie wiem. Wiem tylko, że pozostanę tutaj dotąd, dokąd trwać we mnie będzie pragnienie przebywania przy jej grobie, a wiem, że pragnienie to dręczyć mnie będzie aż do ostatniej godziny mojego życia.

Jedna rzecz tylko zdołałaby mnie oderwać od tego grobu, pokrytego chryzantemami — pragnienie poznania córki Maryi, Racheli Kabib, którą Ty kochasz, Ranieri.

Jakże Ty szczęśliwy jesteś, mój przyjacielu. Ty nie żyłeś napróżno, miłość twoja „zjawiła się w porę“. Kochałeś szczerze, namiętnie i tak samo kochany byłeś.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA.

(Powieść współczesna).

3)

Julian nie doczekał się dnia tego Stefy na ulicy. Czekał już przeszło kwadrans, kiedy pojawiła się Kazia, przystrojona w jakiś fantastyczny „toczek" i płaszczyk osobliwego kroju.

— Pan czeka na Stefę? — uśmiechnęła się słodko i fałszywie — o, to się jej pan nie doczeka. Wyszła jeszcze przed skończeniem urzędowych godzin. Powiedziała, że gwiżdże na robotę i na biuro. Tak się wyraziła. Ona ma strasznie trywialne wyrażenia. Mnie trudno jest doprawdy coś takiego nawet powtórzyć. Mam zbyt dużo poczucia...

Szukała przez chwilę w myśli odpowiednio efektownego określenia.

— ...Poczucia linii i barwy — dokończyła tryumfująco.

Z niezmiernem upodobaniem stosowała zawsze w potocznej rozmowie zwroty, wyczytane w romansach i felietonach dziennikarskich, przypinając je z powodu zupełnego braku wykształcenia jak najnieoczekiwaniej i najnieodpowiedniej.

Julian nie miał wcale głowy do tego, by się zastanawiać w tej chwili nad poczuciem linii i barwy u poetycznej Kazi. Wiedział tylko, że Stefa poszła sobie, że on jej już dzisiaj nie zobaczy i to przeświadczenie sprawiało mu straszliwy, tępy ból.

— A tak... dziękuję pani...

Kazia wsunęła mu delikatnie rękę pod ramię.

— Zatem odprowadzi mnie pan — wyrzekła swoją sfermentowaną słodyczą, tak jakby to było oddawna umówione — wiem przecież, że pan to zrobi chętnie.

Woźniewicz był zanadto grzeczny i łagodny, aby mógł się zdobyć na jakiś odruch protestu. Zresztą skoro nie miał zobaczyć Stefy, mógł odprowadzić Kazię. Wszystko mu to było jedno.

Kazia była jedną z pięciu niezamężnych córek niższego funkcyonaryusza poczty i to najstarszą w tem gronie. Zbliżała się ona już do fatalnych dla panny lat trzydziestu. „Fata morgana" obrączki ślubnej błysnęła kilka razy na jej panieńskim horyzoncie, ale znikało szybko, rozwiewało się w mgłę bez śladu. Rówieśnice Kazi, których większość powychodziła za mąż, choć wiele było z pośród nich od niej brzydszych, orzekły, że Kazia ma „pecha".

Nikt właściwie nie umiał określić, w czem leży przyczyna tego „pecha". Albowiem zgrabna niebieskooka o bujnych, ciemnych, połyskliwych włosach i delikatnych rysach szatynka, zawsze słodko uśmiechnięta, sprawiała na pierwszy rzut oka wielce ujmujące wrażenie.

Pozbawiona głębszej inteligencyi i wykształcenia posiadała jednak sporo iście kobiecego spryciku, który pozwalał jej wszystkie zalety prawdziwe i urojone prezentować zręcznie; w odpowiednio sprzyjającem świetle. A jednak nie umiała przytrzymać dotychczas nikogo, choć całą swoją pomyślowość i energię wytężała w kierunku zdobycia męża, jakiegokolwiek męża, byle męża! Nie popychała ją do tego ani ekspansya zmysłów, ani tęsknota do domowego ogniska. Z natury była dość chłodnego temperamentu, swąd w kuchni rodzicielskiej obrzydził jej wszystkie znicze familine. Chodziło jej o co innego: o pozycyę towarzyską, o stanowisko kobiety zamężnej. Była bardzo ambitna, chorobliwie ambitna i nie chciała ustąpić kroku innym. Nie zdając sobie dokładnie i świadomie sprawy z tego, instynktownie czuła, że poczyna więdnąć i starzeć się przedwcześnie, że jeżeli teraz nie osiągnie swego celu, to już może nigdy.

Na Woźniewicza zwróciła od dawna uwagę. Wydał się jej zupełnie odpowiednim materyałem na męża. Chwiejny, bezwolny pozwalający wpływać na siebie nie umiałby się oprzeć sprytnie ułożonemu atakowi. Gdyby nie ta przeklęta Stefa... Nienawiść zapalała się w przejrzystych samych oczach Kazi, kiedy myślała o Łączkównie. A jednak ta swojem postępowaniem ułatwiała Kazi podjęcie działań strategicznych. I oto Kazia osądziła, że teraz nadszedł odpowiedni moment.

— Dziwne to — podjęła rozmowę panienka — że nieraz ludzie, którzy się bardzo mało znają, pociągani są ku sobie niewidzialną nicią sympatyi agresywnej.

Kazia nie miała pojęcia dlaczego ta sympatya ma być właśnie agresywna, ale wyrażenie to podobało się jej niezmiernie.

— Nieprawdaż i pan to czuje? ja wiem, że pan to czuje!...

— Tak jest — odparł machinalnie, myśląc o czem innem.

— Takie dwie wrażliwe, poetyczne, powiedziałabym szowinistyczne natury jak moja i pańska muszą się rozumieć!...

— Szowinistyczne? — dlaczego szowinistyczne? zadziwił się w duchu Woźniewicz, nie podejrzewając w prostocie serca, że Kazia nie rozumie wyrażeń których używa.

— A więc rozumiemy się. Powinniśmy odtąd częściej widywać się z sobą, miałabym panu tyle do powiedzenia o sobie i mojej duszy i różnych „dygresyach"! A czy to prawda, że pańska mama jest hrabianką z domu? — rzuciła nagle zapytanie stanowiące rzeczywiście dygresyę i to niespodziewaną.

Woźniewicz popatrzył na nią ze wzrastającem zdziwieniem.

— Prawda — rzekł — a dlaczego pani o to pyta?

— O! bo pan ma w sobie coś dziwnię dystyngowanego, arystokratycznego. To tylko ja jedna umiem odczuć to pośród tej całej hałastry!...

Wydęła pogardliwie różowe usteczka, zapominając, aby się jej wymknęło słowo tak trywialne, jak hałastra.

— Kiedyż się zatem spotkamy jutro?

Woźniewicz nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Nie rozumiał zupełnie, dlaczego się ma z Kazią, spotykać skoro nie ma do niej żadnego interesu, a jednocześnie był tak skromny, naiwny, nie przywykły do zabiegów ze strony kobiet, że mu ani przez głowę nie przeszło, iż Kazia „leci" na niego. Stefa swojem maltretującem obejściem oduczyła go gruntownie wszelkiej męskiej zarozumiałości.

Jakże tu jednak powiedzieć kobiecie „nie spotkamy się wcale", kiedy ona o tem mówi, jako o rzeczy przesądzonej.

— Kiedy pani rozkaże.

— Zatem jutro o trzeciej w cukierni Rolińskiego. Tam tak zacisznie, ładnie, renesansowo...

Woźniewicz znowu nie mógł się zoryentować, co renesansowego widzi panna Kazia w bezstylowej zgoła, banalnie po wiedeńsku urządzonej cukierni. Ale nie chciało mu się pytać, dochodzić i protestować, więc zgodził się potulnie:

— Dobrze. Stawię się.

Przechodzili w tej chwili koło wielkiej kawiarni narożnej. Za szybą, popijając czekoladę i zajadając się ciastkami z kremem, siedziała Stefa Łączkówna. Rozglądając się wokół, rzuciła wzrokiem na ulicę i zobaczyła Kazię, idącą pod rękę z Julianem, poufale ku niemu nachyloną i słodko uśmiechniętą. Zawrzało w niej nagle złością. Nie dbała wprawdzie zupełnie o Woźniewicza, nie kochała go i nie umiała ocenić ani jego uczucia, ani niezwykłej prawości. Uważała go za śmiesznego niezdarnego chłopca, który niczego się w życiu nie dobije. Ale przywykła do jego niewolniczości, ślepej, bezwzględnie wiernej miłości i bałwochwalczego uwielbienia. Nie miała bynajmniej ochoty ustępować tego Kazi, co za swoją własność poczytywała.

— Dam ja jej! pokażę tej nadętej peroneli — postanowiła odrazu — będzie się miała spyszna.

Nie troszcząc się o to, co sobie o niej kelnerzy i goście kawiarniani pomyślą, zerwała się od stolika, rzuciła niedojedzone ciastko i wybiegła na ulicę. Oczy jej błyszczały zielono i drapieżnie. Przypominała istotnie panterę, gotową do skoku. Zgóry pastwiła się nad pognębioną rywalką do serca mężczyzny, który dla niej samej był niczem.

— Panie Julku! — zawołała, oddychając szybko — proszę iść ze mną na czekoladę. Ja tu czekam na pana

Kazię ignorowała kompletnie, tak, jakby tamtej wcale nie dostrzegała.

Julian pokraśniał naprzód jak piwonia, a potem stał się blado-zielony, aby znowu na sekundę oblać się krwią rumieńca.. Pierwszym jego odruchem była chęć uwolnienia ramienia od Kazi, ale ta przytrzymała go mocno.

— Co za bezczelność!... coś podobnego popełnić może tylko osoba bez wychowania i estetyki... chodźmy, panie Julianie!...

Gwałtem niemal usiłowała pociągnąć za sobą Woźniewicza, który w tej chwili miał minę nieskończenie przestraszoną i głupią. Nie przeszło mu przez myśl opierać się woli Stefy, jednocześnie zaś wrodzona jego uprzejmość nie pozwalała obrazić Kazi, dopiero co dla niego tak łaskawej.

— Możebyśmy wstąpili na czekoladę we troje — wyjąkał niepewnie, przeczuwając, że ani jedna, ani druga na ten kompromisowy projekt nie przystanie.

— Co! — syknęła Kazia, żółta z gniewu — jabym miała pokazywać się publicznie w towarzystwie tej panny!... nigdy!... ubliżyłabym sobie!

— Panie Julianie, ona mnie obraża.

— Pani nie masz manier ani wstydu!

— Ale zato mam coś lepszego!... i nie gonię tak jak pani za chłopcem, któryby się na mnie ani patrzeć nie chciał!

Mówiły tak głośno, że ten i ów przechodzeń zaczynał zwracać uwagę na tę awanturę. Woźniewicz czuł się jak na mękach, ale nie miał pojęcia, jak zakończyć tę skandaliczną scenę.

— Panie Julku, mówię ostatni raz, albo pan idzie ze mną teraz, albo więcej się do pana słowa nie odezwę! Rozumie pan!...

— Pan Woźniewicz jest zbyt dystyngowany, aby miał uledz takim ordynarnym...

Kazia nie dokończyła jeszcze tego co miała powiedzieć, gdy już przekonała się, że i „dystyngowany" mężczyzna nie oprze się rozkazowi kobiety, która nad nim władzę posiadła.

Julian energicznie uwolnił swe ramię i skłoniwszy się krótko przed Kazią, rzekł spiesznie.

— Pani wybaczy, ale ja muszę... — i pobiegł za Stefą, zanoszącą się od śmiechu.

— Ale miała minę!... a tom jej pieprzu w nos natarła! Pan wie, ona sobie pana chciała złapać na męża, ale z pana to taka fujara, że pan by się spostrzegł dopiero po ślubie.

— Panno Stefo, pani wie, że ja oprócz pani żadnej kobiety...

— Ależ wiem, wiem... Naturalnie, że pana Kazka przemocą zataszczyła. Gdzieby się tam pan umiał sam przysławić. Niech pan każe podać ptysie z kremem i czekoladę,

Stefa pochłonęła jeszcze kilka ciastek, filiżankę czekolady i dwie szklanki wody ze sokiem poczem oświadczyła:

— Mam dosyć! niech pan zapłaci.

— Woźniewicz sięgnął do portfelu, gdzie chował mizerne resztki swojej pensyi. Przez mózg przeleciało mu przypomnienie, że matka upominała się wczoraj o pieniądze na utrzymanie.

Stefa owinęła lisem nieco zrudziałym szyję i opuściła kawiarnię, nie zapraszając nawet Woźniewicza, aby szedł zanią. Na odchodnem zamieniła wymowne sbojrzenie z jakimś przystojnym oficerem od ułanów.

— Mogę panią odprowadzić? — zapytał nieśmiało Woźniewicz, gdy się znaleźli na ulicy.

— Niech się panu ani nie śni! może sobie teraz pan iść, gdzie się panu podoba, choćby do Kazi! żegnam.

I zwinna, zgrabna odbiegła, nie podawszy mu nawet ręki.

ROZDZIAŁ III.

— Stefa wstawaj no! już po 8-mej, spóźnisz się do biura!...

Łączkowa twardą, spracowaną ręką targnęła białe, pulchne ramię córk' zakopanej w pościeli. Jasne włosy opadały w nieładzie na twarz i szyję, wysoka jędrna pierś podnosiła się równym miarowym oddechem. Stefa spała twardo i matka musiała powtórzyć kilkakrotnie swoje zabiegi budzenia, zanim dziewczyna na wpół otwarła leniwe, ciężkie ze snu powieki.

— Co? co? — zapytała niezupełnie jeszcze przytomnie.

— Wstawaj! już czas do biura.

Stefa szarpnęła się opornie i obróciła się na drugi bok, zamierzając spać dalej.

— Daj mi tam mama spokój! co mi tam biuro. Spać mi się chce — tuliła się pod kołdrę jak senna kotka.

Ale Łączkowa nie ustępowała:

— Mówię ci, wstawaj bo czas! nie będziesz spała do południa, kiedy biuro czekał... A po nocach się nie włócz, to ci się rano nie będzie chciało spać! Gdzieś wczoraj była do trzeciej godziny? co? Wstaj mi w tej chwili, bo cię zimną wodą obleję!...

— O jej mama zawsze awantury o byle co wyprawia!...

Stefa ociężale odrzuciła pierzynę, poczem zwolna leniwie spuściła nogi z łóżka i zaczęła wdziewać pończochy.

Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM II.

Lecz Hartley nie wydawał się uspokojonym. Raz po raz spoglądał na drzwi. Wreszcie Ibrahim je otworzył i Mrs. Armine weszła w strojnej wieczorowej sukni popielatej z srebrnymi haftami. Była starannie umalowaną. Na policzkach miała lekkie rumieńce. Usta jej były czerwone. Jasne włosy ułożone w sposób uwydatniający piękny zarys głowy odsłaniały jej wdzięczną szyję. Wszystko, co mogło ją uczynić ponętną, zostało uczynione. Jednakże nawet Isaacson, który w południe widział zmianę, jaka w niej zaszła i był przygotowany na jeszcze większą po wszystkiem, co Hartley powiedział, zdziwił się, że aż do tego stopnia postarzała.

Wiek średni, ukazując subtelnie jaką będzie starość, położył na nią swe ręce. Jak przedtem, od kiedy była w Egipcie wydawała się o wiele młodszą od swego prawdziwego wieku, tak obecnie zdawała się starszą. Kiedy Isaacson patrzał na nią w swym konsultacyjnym gabinecie, znajdował, że nie jest młodą, ani starą, ani w średnim wieku. Teraz poznał dokładnie, jaką będzie jako stara, wymalowana, upudrowana kobieta, starająca się przy pomocy sztuki udawać najmniej sztuczną, ze wszystkiego na świecie... młodość.

Mrs. Armine podeszła prosto do Isaacsona, uśmiechnęła się i rzekła:

— A więc pan wrócił. To bardzo ładnie z pańskiej strony. Nigel już nie śpi.

Zwróciła się do Hartleya:

— Mam nadzieję, że doktór Isaacson potrafi pana uspokoić. Pan mnie przestraszył po południu. Przypuszczam, że pan nie wie, co to jest dla kobiety usłyszeć nagle tak alarmujące wieści.

— Ale ja... wcale nie miałem... zamiaru... — zaczął młody człowiek.

— Nie wiem, jaki pan miał zamiar — przerwała — lecz pan mnie okropnie przestraszył. Czy panowie pójdą razem do mego męża?

— Tak, musimy to uczynić — rzekł Isaacson. Pomimo swej przepowiedni był trochę zdziwiony jej zgodą na konsylium. Miał nieokreślone wrażenie nieufności i niepokoju, jakie odczuwa człowiek zbliżający się do zasadzki, której nie jest pewnym, lecz przypuszcza, że jest możliwą.

— Sądzę, że panowie nie życzą sobie, żebym była obecną przy badaniu, lecz niestety mój mąż nie chce o tem słyszeć.

— Wogóle to nie jest w zwyczaju.

— Konsylium następuje po zbadaniu chorego — rzekła — i naturalnie pozostawię panów samych. Wolałabym także nie być obecną przy badaniu, lecz niestety mój mąż nie chce o tem słyszeć.

Isaacson nie wątpił już o zasadzce. Przygotowała ją kiedy była sam na sam z Niglem. Ponieważ Hartley niespodzianie wymknął się z pod jej wpływu, postarała się uzyskać silnego sprzymierzeńca w swym mężu.

Isaacson jednak nie dawał za wygraną.

— Nie powinniśmy się sprzeciwiać, ani drażnić chorego — rzekł — zwracając się do Hartleya.

— Nie, nie, z pewnością nie! — przyznał młody człowiek z pośpiechem.

— Bardzo dobrze — rzekła Mrs. Armine. Ściągnęła brwi i zacisnęła usta, lecz zaraz zwilżyła wargi końcem języka i zwróciła się do drzwi.

— Pójdę pierwsza oznajmić panów — rzekła wychodząc na korytarz.

XVII.

Zanim za nią poszedł, Isaacson spojrzał na Hartleya.

— Czy... nie wygląda dziwnie? Czy pan widział kiedy taką zmianę? — rzekł młody człowiek.

Isaacson bez odpowiedzi przestąpił próg pokoju.

Mrs. Armine szła prędko. Spojrzała wokoło. Światło padało na nią z sufitu ukazując jej zmienioną twarz, zaostrzone rysy, zmarszczki w kącikach oczu. Wydawała się niezmiernie wysoka w swej powiewnej sukni i wzrost ten wywarł na Isaacsonie wrażenie czegoś odpychającego, prawie strasznego. Podniosła rękę, jakby nakazując obu mężczyznom zatrzymać się na chwilę i znikła w drzwiach prowadzących do jednej z kajut.

— Widocznie musimy zaczekać — rzekł Isaacson zatrzymując się w korytarzu. — Czy pacyent wstał?

— Leżał, kiedy go widziałem — szepnął Hartley.

— Pan mu zalecił leżeć?

— Oh, nie. Nie widzę do tego powodu, chyba jego wielkie osłabienie.

Mrs. Armine ukazała się, dając im znak. Weszli do drugiego salonu i Isaacson zobaczył Nigla siedzącego na otomance, opartego jak gdyby tylko co wrócił z balkonu i trzymał dzienniki na kolanach. Salon był słabo oświetlony jedną elektryczną lampą, przysłoniętą abażurem. Przy pomocy poduszek chory siedział wyprostowany. Mrs. Armine stała tuż przy nim. Oczy jego były zwrócone w stronę obu lekarzy i kiedy Isaacson podszedł do niego rzekł bezdzięcznym, lekko rozdrażnionym głosem:

— Wróciłeś znowu Isaacson?

— Tak.

— Bardzo ładnie z twojej strony. Ale po co to całe zamieszanie. To męczące, wiesz. Myślę, że to właśnie mi szkodzi.

Isaacson już wiedział czego się ma spodziewać.

— Nienawidzę zamieszania z mego powodu — ciągnął Nigel... — po prostu nienawidzę. Musisz o tem wiedzieć.

Isaacson podchodząc do niego wyciągnął był rękę na powitanie. Ale Nigel skutkiem wielkiego osłabienia, czy też z innego powodu zdawał się tego nie widzieć. Isaacson natychmiast rękę opuścił mówiąc:

— Nie myślę, żeby był jakiś powód do zamieszania, ale znajdując się tak blisko chciałem zobaczyć, jak się czujesz po spoczynku.

— Nie spałem całą noc — rzekł Nigel z pośpiechem. — To co mi dałeś nie pomogło mi wcale.

— Bardzo mi przykro.

Nigel ciągle siedział oparty o poduszki, lecz całe jego ciało trochę się pochyliło na lewą stronę, gdzie stała Mrs. Armine patrząca niego z troskliwością.

— Miałem bardzo złą noc... bardzo złą.

— A zatem lękam się...

— Dr. Hartley udał się do ciebie, zdaje mi się, żeby cię sprowadzić — przerwał Nigel. Podejrzliwość przebijała w jego głosie.

— Tak — rzekł dr. Hartley odzywając się po raz pierwszy. — Myślałem sobie, że dwie głowy lepsze niż jedna.

Zaśmiał się z przymusem.

Nigel niespokojnie szczypał otomanę, jak człowiek rozdrażniony do najwyższego stopnia i spoglądał na obu lekarzy, łącząc ich w swojem niezadowoleniu.

— Dwie głowy... po co? — rzekł — Co pan chce powiedzieć? — Westchnął ciężko i nie czekając na odpowiedź zwrócił się do żony:

— Gdybym mógł mieć trochę spokoju!

Znać było w jego głosie straszne osłabienie.

Mrs. Armine pochyliła się nad nim i dotknęła się jego ręki, która wciąż spoczywała na leżących na kolanach dziennikach. Uśmiechnęła się do niego.

— Trochę cierpliwości — szepnęła.

— Tak, to wszystko bardzo dobrze, Ruby, ale.. — Spojrzał znowu na Isaacsona z wyraźną niechęcią. — Wiem, że chcesz mnie leczyć, Isaacson, i ona mnie o to prosiła, żebym się z tobą widział. Przeszłej nocy było co innego, lecz dzisiaj nie chcę żadnego leczenia. Przybyliśmy tutaj, żeby mieć spokój, lecz nie możemy się go doczekać.

Zwrócił się znowu do żony.

— Nawet ty jesteś znużoną, nie mogę się na to patrzeć — rzekł.

Gładkie czoło Mrs. Armine nagle się zmarszczyło.

— Oh, ja się czuję zupełnie dobrze Nigel — rzekła prędko śmiejąc się. — Nie pozwolę, żeby i mnie zaczęli leczyć.

— Pielęgnuje mnie jak niewolnica — ciągnął Nigel patrząc na obu mężczyzn i mówiąc, jakby ją bronił. — Jeszcze nie było takiego poświęcenia. Chciałbym, aby wszyscy o tem wiedzieli.

Łzy stanęły mu nagle w oczach.

— Ale to, co jest najlepszego w ludziach nie znajduje wiary — szepnął.

— Daj pokój, Nigel, mój drogi — rzekła łagodnie — daj pokój.

Isaacson, który wraz z Hartleyem stał cały ten czas z powodu stojącej Mrs. Armine, usiadł teraz przy chorym.

Jestem pewny, że prawdziwe poświęcenie bywa zawsze wynagrodzone — rzekł spokojnie i poważnie. — Pragniemy tylko cię wyleczyć, przywrócić dawne, doskonałe twe zdrowie.

— Jesteś bardzo dobry, ale zeszłej nocy nie uczyniłeś mi nic dobrego. To była najgorsza noc, jaką kiedykolwiek miałem.

Isaacson wspomniał na odgłosy, które go doszły, kiedy Nubijczycy przestali wiosłować.

— Pozwól nam spróbować dzisiaj dobrze? — rzekł.

— Jedyna rzecz, której pragnę, to spokój. Powiedziałem jej o tem i wam to samo powtarzam.

— Czy chcesz, żebym został tutaj na noc i zobaczył cię rano po spoczynku?

Nigel spojrzał na żonę.

— Czy nie jesteś blisko? — zapytał Isaacsona po chwili.

— Nie jestem bardzo oddalony, ale...

— A zatem nie chcę cię trudzić. Mamy doktora Hartleya.

— Ja... obawiam się... ale będę musiał wyjechać jutro — rzekł młody człowiek, który raz po raz spoglądał na postarzałą twarz Mrs. Armine. Widzi pan, nie jestem sam w Assnau. Przyjechałem do Egiptu w charakterze lekarza Mrs. Craven Bagley, która jest delikatnego zdrowia. I jakkolwiek czuje się teraz o wiele silniejszą...

— Dobrze, dobrze — przerwał Nigel. — Naturalnie, jedź pan... jedź. Potrzebuję spokoju, potrzebuję wypoczynku.

Zwrócił się do żony. Siadła obok niego trzymając go za rękę.

— Wolisz może, żeby cię nie badano dzisiaj? — zapytała.

— Badano? — rzekł ze zdziwieniem.

— Widzisz, mój drogi, ci panowie...

Nigel z wielkim wysiłkiem usiadł jak poprzednio.

— Nie chcę, żeby mnie męczono dzisiaj — rzekł z niechęcią wyczerpanego człowieka. — Nie mogę nic więcej znieść. Nie mogę... znieść...

Głos jego zamarł.

— Chodźmy, lepiej — szepnął Hartley. — Jutro rano.

Spojrzał na Mrs. Armine i sierował się do drzwi. Isaacson wstał.

— Zostawimy chorego dzisiaj — rzekł obojętnym głosem do Mrs. Armine.

— Tak?

— Lecz proszę panią na słówko do drugiego pokoju.

I podążył za Hartleyem.

Spotkał go w korytarzu.

— To absolutnie na nic dzisiaj — rzekł młody lekarz. — Jakiekolwiek badanie pogorszy sprawę.

— Sądzę, że lepiej zaczekać do jutra.

— I zaraz po konsylium wyjadę. To jest, jeżeli pan się zgadza na...

— Może pan wszystko oddać w moje ręce.

— Ona mnie teraz nienawidzi! — rzekł młody człowiek jakby ze skargą. — Widział pan kiedy taką zmianę?

— Mam z nią do pomówienia w pierwszym salonie. Muszę więc pana pożegnać.

Hartley trzymał rękę na drzwiach kajuty. Sypiam tutaj. Dobra noc.

— Dobra noc.

Młody człowiek otworzył drzwi i znikł za niemi, podczas, gdy Isaacson przeszedł do pierwszego salonu.

Czekał w nim z jakie dziesięć minut zanim usłyszał, że Mrs. Armine nadchodzi; lecz mógłby czekać i godzinę. Postanowienie jego było niewzruszone, silne jak stal, a siła może czekać.

Mrs. Armine weszła zamykając cicho drzwi za sobą.

— Przykro mi, że się spóźniłam — rzekła — Zaprowadziłam mego męża do jego kajuty. Pójdzie już do łóżka. Gdzie jest doktór Hartley?

— Poszedł do siebie.

Coś ją uderzyło w tonie, w którym Isaacson to powiedział i rzuciła na niego badawcze spojrzenie.

— Może pani usiądzie na chwilę — rzekł.

Siadła natychmiast trzymając wciąż oczy w niego utkwione. Usiadł przy niej.

— Doktór Hartley odjeżdża jutro rano — rzekł.

— Obiecał zostać z nami kilka dni, żeby uważać na rekonwalescencyę mego męża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Zanim przystąpimy do porządku dziennego, raczej tygodniowego, musimy oddać głos jednemu z czytelników, który zgłosił się do nas, żaląc się ze zbolałego serca na dziwne praktyki monopolu tytoniowego, dzięki którym zmuszony jest zaopatrywać się w „paliwo" u paskarzy, nie mogąc tego uczynić w legalnej drodze.

Sprawą tą zajmowaliśmy się już kilka tygodni temu wstecz, wracamy jednak do niej tem chętniej, iż Zarząd monopolu tytoniowego przypomniał się znów naszej pamięci, podnosząc ceny, choć ostatnia podwyżka miała miejsce niespełna przed miesiącem. Jeśli tak dalej pójdzie w tem samem tempie, możemy być pewni, iż do nowego roku za paczkę tytoniu fajkowego, tak zwanego przedniego, płacić będziemy conajmniej sto marek, choć nie dorównuje on jakością przedwojennemu, którego równa ilość kosztowała dwa centy. Ale trudno!... Drożeje wszystko, drożeć musi zatem i tytoń, gdyż Rząd nie może pozostać w tyle i musi się dostosować do ogólnej normy. Daleko gorzej, iż drogocennego tego artykułu jak miesiąc długi w trafice otrzymać nie można, a ilekroć się tam przybędzie, można być pewnym, że się spotka z miłym uśmiechem panny Rózi lub Zosi i zapewniem, że tytoń będzie ale dopiero w przyszłym miesiącu. A jeśli kto bardzo ciekawy i zacznie się dopytywać o powody tego stałego braku, dowie się, że przydział materyałów tytoniowych był tak skąpy, iż rozprzedano go w przeciągu dwu dni. Dziwniejsze jednak, że w pasku, to jest u niekoncesyonowanych trafikantów, którzy stale urzędują w okolicy Sukiennic i Bramy Floryańskiej, różnego rodzaju tytoniu, papierosów i cygar, oczywiście po daleko wyższych cenach nigdy nie braknie. Z konieczności musi się zatem palacz u nich zaopatrywać, zadając sobie przecież pytanie skąd oni biorą tytoń, którego trafika nie może otrzymać ze składu monopolowego. W innych dzielnicach, gdzie monopol prowadzony jest w inny sposób, dzieje się zupełnie inaczej. Nie tak od nas daleko, gdyż już w Sosnowcu, w każdym sklepie można otrzymać rozmaite przetwory tytoniowe, nie narażając się na wyzysk i lichwę.

Na to pytanie ani rusz znaleźć odpowiedź, ponieważ jednak paskarze nasi oferują dowolne ilości papierosów i cygar, a te, jak wiadomo, z nieba nie spadają, lecz trzeba się w nie zaopatrzyć w jakiemś ziemskiem źródle, byłoby wskazanem, aby tą sprawą zajęły się powołane do tego czynniki i postarały się o to, aby tytoń otrzymywały i trafiki, skazane przez cały prawie miesiąc na próżnowanie i odprawianie zgłaszających się z kwitkiem. Złe musi gdzieś tkwić i powinno się je usunąć, a przyczyny jego znajdą się jeśli się ich tylko dobrze poszuka. Zdaje się, że jednym z powodów jest pokutujący u nas dotąd dawny austryacki szlendryan biurokratyczny, który powiedział sobie, że materyały tytoniowe wydaje raz na miesiąc i nic go to nie obchodzi, w odpowiedniej ilości, czy nie. Nie każdego z palących stać na to, zwłaszcza jeżeli należy on do sfer proletaryackich, to jest pracujących umysłowo, aby się zaopatrzył odrazu w większą ilość tytoniu, którego zresztą nawet nie otrzymałby tyle, ile potrzebuje na cały miesiąc, pozatem na przeszkodzie staje mu brak czasu, w te dni bowiem, w które trafika sprzedaje swe zapasy, panuje tam taki ścisk, iż długo trzeba czekać na swą kolej i to do tego w tej porze, gdy naprzykład urzędnik musi się znajdować w swem biurze. Ta paczusia, lub może nawet i dwie, jakie się uda zdobyć w drodze legalnej, wystarczą zaledwie przy najdalej posuniętej oszczędności na kilka dni, resztę zapotrzebowania pokryć się musi z natury rzeczy u paskarza. W czasie braku tytoniu w rządowej trafice zgłosił się nasz informator w nowo otwartym składzie, również rządowym, gdyż opatrzonym orłem, przy ulicy Floryańskiej, gdzie, jak skonstatował, materyałów tytoniowych nie brakło, odszedł jednak z niczem, gdy oświadczono mu kategorycznie, że wydaje się tylko na asygnaty. A Pan Bóg jeden tylko wie, kto do ich otrzymania jest uprawnionym i gdzie się należy o nie starać.

Skoro dziś żyjemy pod znakiem wolnego handlu, należy go wprowadzić i o ile to dotyczy sprzedaży tytoniu, to jest zerwać z dotychczasowemi biurokratycznemi praktykami i dozwolić trafikom na zaopatrywanie się w tytoń w podobny sposób, jak to jest gdzieindziej. Monopol tytoniowy bardzo na tem nie ucierpi, tytoń musi być bowiem zaopatrzony w rządową banderolę, nie zarobi może tyle, ile powinien, prowadząc wyrób i sprzedaż we własnym zarządzie, winę za to spaść jednak musi jedynie na naszych funkcyonaryuszy monopolowych i system, a nie można żądać, aby na tem cierpiał ogół, który za swe pieniądze chciałby mieć to, co mu się należy i nie otrzymywać tego jakby z łaski.

Sprawa to bardzo aktualna i należałoby sobie życzyć, aby palacze, którzy tak obficie zasilają skarb państwa, nie potrzebowali walczyć z trudnościami i narażać się na bezczelny wyzysk niesumiennych spekulantów.

Właściwym tematem niniejszej kroniki miał być rok szkolny 1922., który rozpoczął się z dniem pierwszego września, co jest znakiem, że rok kalendarzowy ma się już ku końcowi i że należy się powoli przygotowywać do obchodu Sylwestra, który będzie ósmym z rzędu wojennym. Kronikarz nazywa go w ten sposób, gdyż nie wierzy w to, iżby miał nastać już trwały pokój i pilnie strzeże, aby mu nie zardzewiał miecz odziedziczony po przodkach, z którym może przyjdzie wyruszyć na rycerską potrzebę.

Z powodu rozpoczęcia roku szkolnego, w którym weszły w życie nowe systemy szkół średnich, ojcowie rodzin, posiadający potomstwo obojga płci „w wieku popisowym", znaleźli się w kłopocie, jaki typ szkoły średniej wybrać, aby swym pociechom zapewnić jak najrychlejsze i najpewniejsze zrobienie karyery, gdyż samo wykształcenie nikomu dziś w głowie. Rozchodzi się jedynie o to, aby młodzian lub dziewoja zdobyli kawałek papieru, na którym stoi wyraźnie napisane, że są mądrzy, gdyż za takich zostali z urzędu uznani. Ta troska okazuje się jednak zbyteczną, gdyż widzimy, że dzisiaj można się obejść i bez owego urzędowego zaświadczenia o stanie swej mądrości, skoro najświetniejszą karyerę robią dziś ludzie o domowem wykształceniu. Nam zostało jednak przyzwyczajenie z dawnych czasów, aby mieć w ręku kawałek papieru, bez którego wykształcenia, choćby ono osiągnęło najwyższy stopień, nie uznajemy. Oczywiście nie mamy tu na myśli tak zwanego warszawskiego domowego wykształcenia, które równa się zeru i prawdopodobnie dlatego weszło tak dziś w modę, iż u steru najważniejszych spraw znalazły się zera, nie mogące ścierpieć obok siebie osobników, o których się powiada, że „mają głowę na karku".

Wobec uruchomienia fabryk oleju, czyli szkół tak publicznych jak i prywatnych, napływ rodziców z swem potomstwem do miast, w których się znajdują zakłady naukowe był bardzo liczny, co przyczyniło się do zwyżki cen wszelkich artykułów, gdyż panowie kupcy wychodzą z założenia, że należy drzeć tylko kiedy się da, a na taką sposobność czekać muszą znowu rok cały. Drapali się też po głowie biedni ojce, musiące co chwila wypróżniać swój portfel, wzdychały gorzko mamy, chcące przy tej sposobności załatwić i dla siebie potrzebne zakupy, swobodnie oddychali natomiast kawalerowie i bezdzietne małżeństwa, dziękując gorąco Panu Bogu, że nie odbarzył ich „konsolacyą".

Powiada wprawdzie przysłowie, że „komu Pan Bóg da dzieci, daje i na dzieci", ale ono nie zawsze się spełnia, tak jak nie zawsze wpada w dołek ten, kto go kopie. Mając kilkoro dzieci, które trzeba posyłać do szkoły, mieszkając na wsi, musi się być naprawdę milionerem, aby je należycie ulokować w mieście na tak zwanej „stancyi", a milionerów niema między nami tylu, ilu jest ojców, cieszących się licznem potomstwem. Może to jednak wyjdzie na korzyść naszemu społeczeństwu, gdy część rodziców zmuszona będzie wyrzec się dla swych pociech wyższego wykształcenia naukowego, a skierować je na drogę zawodów praktycznych, jak wiadomo, bardziej dziś popłacających, niż zdobycie świadectwa pozwalającego na obranie sobie karyery urzędniczej, co dotąd było ideałem większości.

Co do rozmaitych typów szkół średnich największą popularnością cieszyć się będą niezawodnie „bifurkacyjne" nie tyle dla swej praktyczności, ile raczej dla egzotycznego brzmienia ich nazwy. Serce ojca lub matki rozpierać będzie duma, gdy wobec przyjaciół gdzieś na prowincyi będą się mogli pochwalić, że mają bifurkacyjnego syna, lub bifurkacyjną córkę.

O pożytku, jaki z tego podziału na typy wyniknie dla społeczeństwa, dziś mówić jeszcze nie można, wykażą go dopiero skutki, to jedno zaznaczyć należy, że, jeśli utrzyma się dotychczasowy system, wprowadzony za czasów austryackich, aby ułatwić młodzieży lekkie przepłynięcie przez okres studyów, by się przypadkiem zbytnio nie zmęczyła, korzyści nie będą wielkie. Szkoła średnia przeznaczoną jest do tego celu, aby młodzież nauczyć nie tylko form gramatycznych i historycznych dat, ale i pojmowania seryo pracy. Widzimy dzisiaj już ogromną różnicę między tymi, którzy pokończyli szkoły za dawniejszych czasów, kiedy musiało się pracować nad sobą naprawdę, a tymi, którzy je niedawno opuścili. Dawniej nie narzekali profesorowie uniwersytetu, iż otrzymują ze szkół średnich materyał przeważnie nie nadający się do wyższych studyów.

W interesie zatem całego społeczeństwa leży, aby szkoła, przedewszystkiem średnia była tem, czem być powinna, to jest dała uczniom wykształcenie ogólne, mające stanowić podstawę przyszłego, specyalnego, jakie się zdobywa na wszechnicy. W tym kierunku powinni sobie podać ręce tak pedagogowie, jak i ich wychowankowie i zebrać się do sumiennej pracy, pierwsi nauczania, drudzy zaś korzystania z tego, a wtedy będzie cel szkoły średniej w zupełności osiągnięty.

Załatwiwszy się z trafiką i szkołą, z których każda interesuje tylko część społeczeństwa, należy bodaj koniec kroniki poświęcić polityce, obchodzącej wszystkich. Ale ona, tak zewnętrzna jak i zagraniczna, znajduje się w tak opłakanym stanie, że potrzeba być Jeremiaszem proroków, a nie kronikarzem, aby się módz należycie wywiązać z zadania. Stronnictwa poszczególne wodzą się za łby, a posiedzenia rozmaitych komisyj sejmowych przypominają hiszpańskie walki byków. Rolę czerwonego sukna gra chęć objęcia w swe ręce rządów, do czego dąży pełną parą narodowa demokracya, a prezydent Witos trzyma się rękami i nogami fotelu, aby zeń nie spaść. W kraju tymczasem nieporządek i chaos, każdy robi co mu się żywnie podoba, a dla urozmaicenia wybuchają co chwilę nowe bezrobocia, przyczyniają się do wzmożenia biedy i tak dochodzącej już kulminacyjnego punktu. Widzi to zagranica i ma zupełną racyę, że nie żywi do nas zaufania, robimy bowiem wrażenie małych dzieci, bawiących się w samodzielne państwo, a zabawa ta zaczyna być już niebezpieczną. Nie można też brać za złe Lloyd'owi George, że nazwał nas narodem szaleńców i oświadczył, że Anglia nie myśli bynajmniej narażać się na straty przy finansowaniu różnych naszych eksperymentów. Samochcąc kujemy broń przeciwko sobie, a tej używają ze skutkiem nasi wrogowie. W oczach reszty Europy stoimy obecnie zupełnie na równi z bolszewicką Rosyą, z tem jeszcze na naszą niekorzyść, że nie posiadamy takich przyrodzonych skarbów jak ona. Nikt się zatem z nami nie liczy, nawet nasi prawdziwi sprzymierzeńcy narzekają, że przysparzamy im tylko kłopotu.

Obniżając w ten sposób swą powagę i znaczenie, przyczyniamy się równocześnie do zaprzepaszczenia ostatecznego sprawy górnośląskiej, która z Rady Najwyższej w Paryżu przejechała do Ligi Narodów w Genewie a nie jest wykluczone, że wybierze się i do Waszyngtonu, stamtąd zaś może jeszcze dalej. Narady Ligi Narodów są tajne, nie wiemy zatem jaki sprawa górnośląska bierze obrót, tyle tylko doszło do naszej wiadomości, iż rozmaici rzeczoznawcy, znający Górny Śląsk z opisu i fotografii, doszli podobno do przekonania, iż ów osławiony „trójkąt przemysłowy" da się podzielić, ale jak, tego nie mówią, w każdym razie nie zechcą zapewne skrzywdzić Niemców, aby nie zmartwić zbytnio Lloyd'a George'a, który nie załatwiwszy się jeszcze z Irlandczykami, ma świeży kłopot z Indyami angielskiemi, gdzie wybuchło powstanie, skierowane przeciw ciemięzcom. Indye, to „perła w koronie wielkobrytańskiej", ale tak luźnie osadzona, iż zawsze okazywała tendencyę do wypadnięcia. Hindusi mają już dość rządów angielskich i pragnęliby, aby i do nich zastosowane zasadę samostanowienia narodów o swoim losie, a z pewnością nie znajdzie się między nimi ani jeden, który oddałby swój głos za Anglią. Tak się im już dała we znaki, iż chętnie pozbędą się jej „opiekuńczych skrzydeł".

Ma zatem Lloyd George kłopot i to nie byle jaki. Sprawa Indyi bezpośrednio nas wprawdzie nie obchodzi, pośrednio może przecież mieć wpływ na nasze losy, gdyż Lloyd George, aby pozyskać dla siebie rosyjskich bolszewików, którzy w indyjskiem powstaniu umaczali swe ręce, będzie się starał przemówić im do serca drogą na Berlin, a ten niezawodnie za faktorne zażąda wynagrodzenia w postaci Górnego Śląska.

Kto wie zatem, czy nie byłoby dla nas lepiej, gdyby Liga Narodów, nie mogąc dojść do porozumienia w rozstrzygnięciu o przynależności Górnego Śląska, sprawę tę oddała znów dalszej instancyi, a tą byłby kongres w Waszyngtonie, który może sumienniej zabrałby się do jej rozwikłania w imię słuszności i postanowień traktatu wersalskiego, a nie interesu.

jej jest wykonanie postanowień traktatu pokojowego, przyznającego Austryi zachodnie komitaty węgierskie. Objęcie ich przez Austryę miało nastąpić w ostatnim tygodniu sierpnia, przedstawiciele rządu austryackiego spotkali się jednak z groźną postawą miejscowej ludności, przyczem w wielu miejscowościach przyszło do rozlewu krwi. Rządy koalicyjne oświadczyły stanowczo, że postanowienia traktatu muszą być wykonane, w przeciwnym razie grożą nawet użyciem siły zbrojnej, do czego miałyby być powołane, jak gdyby na ironię, wojska czeskie. Środowiskiem ruchu antiaustryackiego na Węgrzech jest Szoproń, tam też mają się zbiegać nici usiłowań węgierskich monarchistów, chcących skorzystać ze sposobności, i osadzić na tronie ponownie Karola Habsburga. Czesi gotowi są do wykonania mandatu, zależy im bowiem bardzo na tem, aby Habsburgowie nie zdobyli korony węgierskiej.

Rząd austryacki w zasadzie przyjmuje projekt, aby na przyznanym mu obszarze ludność w drodze plebiscytu oświadczyła swą wolę co do przynależności państwowej, ale obstaje przy tem, iż sporne terytoryum musi być przedtem przez Austryę okupowane. Nie wiele zatem brakuje do tego, aby między dawnemi połowami habsburskiej monarchii wybuchła wojna, co byłoby na rękę zwłaszcza Czechom, odnoszącym się stale wrogo do Węgier i nie szczędzących wszelakiego rodzaju intryg, byle je tylko postawić w krytycznem położeniu i zrobić na tem dla siebie jak najlepszy interes.

Położenie na Węgrzech jest na ogół bardzo poważne, stanowisko zaś naczelnika rządu Horty'ego bardzo trudne, z jednej bowiem strony ma do czynienia z ruchem monarchicznym, z drugiej zaś z budzącą się znowu do życia reakcyą komunistyczną, do tego przybywa świeży zatarg z Austryą i wrogie usposobienie sąsiadów, Czechów, Rumunów i Południowych Słowian.

Do kandydatów do korony św. Szczepana, za których dotąd uchodzili: były król Karol, ewentualnie jego najstarszy syn, i cieszący się ogólną sympatyą u Węgrów arcyksiążę Józef, zwany przez nich popularnie „Joszika", przybywa nadto arcyksiążę Albrecht, syn Fryderyka. Jak niedawno czytaliśmy, matka jego, arcyksiężna Izabella, zaciągnąć miała znaczną pożyczkę na swe dobra w jednym z banków amerykańskich, a uzyskaną kwotę przeznaczyła na agitacyę na rzecz swego syna. Równocześnie jednak ogłosił tenże list, w którym oświadcza, że Karola uważa za głowę domu i przeciw niemu występować nie będzie.

Dawniej austryaccy „wierni poddani" Habsburgów bardzo niechętnem okiem patrzą na wzmagający się coraz bardziej na Węgrzech ruch monarchistyczny, a Wiedeń i Praga są stale centrami knowań antiwęgierskich.



Na ostrzu miecza: Powitanie de Valery po powrocie z Londynu do Dublina.



Na ostrzu miecza: Demonstracya dzieci dublińskich na rzecz Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

O rozwój naszego rękodzieła.

(Do Illustracyi na stronie 3 i 4).

Jednym z obywateli, odczuwającym głęboko i rozumnie potrzeby naszego społeczeństwa, był śp. dr. Adryan Baraniecki. Założeniem w Krakowie dwu instytucyi, to jest Wyższych Kursów Naukowych dla kobiet i Muzeum Techniczno-Przemysłowego zapisał on się trwale w wdzięcznej pamięci nie tylko mieszkańców naszego grodu, ale i całego kraju, tworząc podwaliny dwu gmachów, mających w przyszłości odłać nieobliczalne korzyści polskiemu społeczeństwu. Każdy początek jest trudny, z trudnościami borykać musiał się też i śp. Baraniecki, zwalczył je przecież jego silny charakter. Dziś obie te instytucye znajdują się w pełnym rozwoju, a o ich doniosłości i znaczeniu dla naszego życia mieli się sposobność przekonać nawet ci, którzy ich należycie nie doceniali. Wyższe Kursy Naukowe dla kobiet imienia dra Adryana Baranieckiego, to dzisiaj pierwszorzędna uczelnia, otwierająca podwoje wyższego wykształcenia dla kobiet już wtedy, gdy bramy naszych uniwersytetów były dla nich jeszcze zamknięte. Dzięki dr. Baranieckiemu, który uznawał potrzebę i korzyść wyższego wykształcenia naukowego dla kobiet, tysiące ich szukało go tam i znalazło w rozmaitych kierunkach. „Baraneum" gromadziło w Krakowie żądne wiedzy kobiety ze wszystkich dzielnic Polski. Kierując się myślą o rozwoju naszego przemysłu i rękodzieła, założył śp. dr. Baraniecki Muzeum Techniczno-Przemysłowe, gromadząc w niem skrzętnie i umiejętnie wszystko to, co dla ich rozwoju było koniecznem, a na czego nabycie pozwalały jego stosunki, bo zbytniem poparciem ogółu bynajmniej się nie cieszył. Starania jego dłuższy czas nie były należycie zrozumiane, dziś dopiero widzi się, jakie one dla naszego życia społecznego mają znaczenie. Przemysł nasz i rękodzieło twórcy Muzeum Techniczno-Przemysłowego ma wiele do zawdzięczenia, a skromne początkowo zbiory, mieszczące się pierwotnie w zupełnie nie odpowiednich na ten cel ubikacyach klasztoru OO. Franciszkanów, znalazły z czasem godniejsze siebie pomieszczenie we własnym budynku przy ulicy Smoleńsk, gdzie rozwijają się coraz pomyślniej.

Założeniem tych dwu instytucyi postawił sobie śp. dr. A. Baraniecki pomnik, trwalszy od spiżu lub granitu, a nazwisko swe zapisał w rzędzie najpożyteczniejszych działaczy społecznych, których jedyną troską życia było dobro ogółu i praca dla niego.

Dzięki wojnie ucierpiały wiele obie instytucye, noszące miano swego twórcy, zwłaszcza zaś Muzeum Techniczno-Przemysłowe, którego działalność na cały szereg lat musiała uledz zawieszeniu, choć i wówczas oddawało usługi w swym zakresie, mieszcząc w swych murach szkołę inwalidów wojskowych. Dziś weszło już na normalne tory, oddając w myśl intencyi swego twórcy prawdziwe przysługi naszemu przemysłowi i rękodziełu, potrzebującym jeszcze wiele, aby módz dorównać zagranicy.

Staraniem Muzeum urządza się stale cały szereg kursów, mających na celu teoretyczne i praktyczne wyszkolenie naszych rękodzielników. Pod fachowem kierownictwem uzupełniają oni tutaj swe zawodowe wykształcenie, mające im zapewnić uczciwie zaro-



Na ostrzu miecza: Żołnierze angielscy w Dublinie dokonują rewizyi ulicznych



Na ostrzu miecza: Angielska para królewska w drodze na otwarcie parlamentu północno-irlandzkiego w Belfaście (Ulster).

biony kawałek chleba, a naszemu przemysłowi rozwój jaki mu się należy.

W ostatnich miesiącach odbyły się tego rodzaju kilkutygodniowe kursy, jeden urządzony staraniem Krajowego Patronatu i Muzeum dla techników stolarskich (od 25 kwietnia do 30 czerwca), drugi staraniem Muzeum dla pracowników szewskich (od 27 czerwca do 25 sierpnia). Wynik obu tych kursów wykazał sumienną pracę ich kierowników i pilność biorących w nich udział, którzy zrozumieli, jakie korzyści przynosi każdemu pracownikowi wyższe zawodowe wykształcenie.

Na ostrzu miecza.

Sprawa irlandzka weszła w stadyum nowego zaognienia. Zielona Wyspa posiadająca dwa rządy, to jest sprzyjający Anglii parlament ulsterczyków w Belfaście oraz rząd republikański z de Valerą na czele, stać się może bardzo łatwo widownią nowych zamieszek, sinfeiniści są bowiem zdecydowani na wszystko i absolutnie nie godzą się na propozycye angielskie, nie odpowiadające ich pragnieniom zupełnej wolności bez jakichkolwiek ograniczeń. Rząd angielski trwa dalej w uporze, licząc wiele na współdziałanie ulsterczyków, wrogo odnoszących się do katolickiej ludności, a Lloyd George zapowiedział ponowne zastosowanie dalszych represyi w razie, gdyby de Valera nie przyjął jego propozycyi.

Upór Anglii może jednak złamie się wobec sytuacyi, jaka wywiązała się w Indyach, gdzie wybuchło powstanie przeciw rządowi angielskiemu o podkładzie wybitnie bolszewickim. W interesie Anglii leży, aby, celem skuteczniejszej akcyi w Indyach, mieć rozwiązane ręce w Europie.

Obecne położenie w Irlandyi jest tego rodzaju, iż de Valera został ponownie wybrany prezydentem republiki irlandzkiej. Cały skład obecnego gabinetu irlandzkiego został również ponownie zatwierdzony. Irlandzkie zgromadzenie narodowe zatwierdziło propozycyę zaciągnięcia pożyczki zewnętrznej w Stanach Zjednoczonych w wysokości 20 milionów dolarów i pożyczki wewnętrznej w Irlandyi w wysokości pół miliona funt. szterl.

W odpowiedzi przesłanej de Valerze Lloyd George zaznacza, że rząd angielski w swych ustępstwach posunął się do ostatecznych granic. Propozycye uczynione Irlandczykom zostały uznane przez cały świat cywilizowany za liberalne. Lloyd George wylicza następnie korzystne warunki, postawione Irlandczykom, dodając, że zaproszono Irlandyę do zajęcia miejsca w charakterze sprzymierzeńca w wielkiem Commonvealth narodów i mocarstw. Odpowiada to zasadzie przytoczonej przez de Valerę utworzenie rządu za zgodą rządzonych. Lloyd George przypuszcza, że trwałe pojednanie Irlandyi z Anglią nie może się dokonać bez uznania wzajemnej zależności geograficznej i historycznej. Premier uważa za niebezpieczne przedłużenie obecnego stanu rzeczy oraz za niemożliwe prowadzenie w dalszym ciągu jedynie wymiany not. Lloyd George oświadcza w końcu, że gotów jest spotkać się z de Valerą celem zbadania możliwości uzgodnienia poczynionych propozycyi, zgodnie z żądaniem de Valery.

De Valera w odpowiedzi przesłanej Lloyd'owi George'owi donosi, że parlament irlandzki jednomyślnie odrzucił propozycyę rządu angielskiego, odpowiedź zawiera jednak równocześnie oświadczenie gotowości wznowienia rokowań na zasadzie utworzenia rządu za zgodą rządzonych. O ile rząd angielski zgodzi się w zasadzie na rozpoczęcie dyskusyi, sinfeiniści wymienią swoich przedstawicieli, których zaopatrzą w odpowiednie pełnomocnictwa.

W odpowiedzi swej do rządu angielskiego de Valera oświadcza, iż Irlandczycy nigdy nie wyrażali zgodności przyłączenia się do Wielkiej Brytanii i nigdy nie przyrzekali wierności Anglii. Irlandya posiada całą świadomość odpowiedzialności wobec żyjących, jakoteż wobec bohaterów nieżyjących. Irlandya wojny nie szukała, ale gdyby była do niej zmuszoną, będzie się musiała bronić. Żadne zgromadzenie narodowe irlandzkie nie zgodzi się na rezygnacyę z praw, które przysługują narodowi irlandzkiemu. Jeżeli zaś Anglia zechce narzucić Irlandyi swą wolę gwałtem, odpowiedzialność za to spadnie na jej barki. De Valera proponuje nowe rokowania celem dojścia do sprawiedliwego i honorowego pokoju. De Valera zaznacza, że Anglia pod pozorem strategicznych konieczności stara się narzucić Irlandyi swe jarzmo. Pierwszym warunkiem ugody jest wolność Irlandyi, gdyż małe narody mają takie samo prawo do samodzielnego bytu jak duże, czego dowodem jest choćby Belgia, w obronie której krwawiła się cała Europa.

W związku z poważnem położeniem, jakie powstało po ostatniej odpowiedzi irlandzkiej, powołano do Londynu wicekróla Irlandyi.

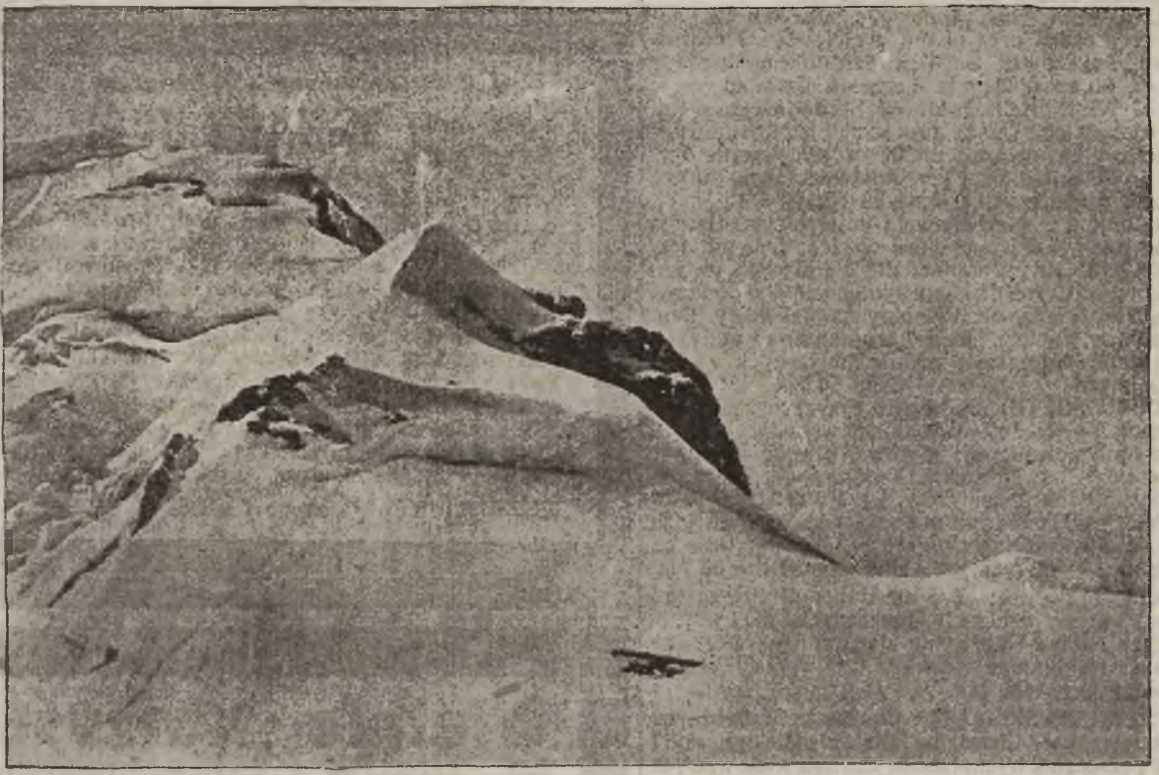
W krainie śmierci.

Wiadomości nadchodzące z państwa czerwonych carów są tak straszne, iż nie pozostają bez wpływu



W krainie śmierci: Ludność rosyjska składa ofiary obok zwłok zmarłego na cholerę, celem uproszenia odwrócenia zarazy.

nawet na najsilniejsze nerwy. Dzisiejsza Rosya, to prawdziwa kraina śmierci. Wojna światowa zabrała tam sporo ofiar, nie mniej egzystencyi ludzkich stało się pastwą krwiożerczych satrapów, usiłujących przy pomocy terroru utrzymać się u steru władzy, reszty dokonał głód, następstwo bolszewickich rządów, i nieodstępni jego towarzysze choroby zakaźne i mór. Okolice w przedwojennych czasach, w całem tego słowa znaczeniu „mlekiem i miodem płynące", w latach wojny nawet nie cierpiące zbytniego niedostatku, to dziś prawdziwa pustynia, ogołocona ze wszystkiego, po której tylko tu i ówdzie błąkają się raczej szkielety, niż ludzie. Gubernie nadwołżańskie, słynne niegdyś z dobrobytu i zaopatrujące w żywność resztę Rosyi, dziś robią wrażenie cmentarzyska, a reszta ludności, jaka została jeszcze przy życiu, ratując się przed głodową śmiercią poszła w świat szukając chleba.



Samolotem na Mont Blanc: Aeroplan szwajcarskiego lotnika M. Durafour'a ponad szczytami alpejskimi.

O powodach, które ten stan wywołały, czytamy w organie Burcewa *Obszczeje Dieło*, które drukuje obszerny list pewnego lekarza, pracującego nad dolną Wołgą, pochodzący mniej więcej z przed miesiąca.

Pisze on między innemi:

„Ogłodzenie prowincyi nadwołżańskiej sprawiła nietylko straszliwa posucha. Głód dawał się odczuwać już w pierwszej połowie lata, gdy jeszcze nie wszystkie nadzieje na urodzaj były stracone.

Chłop rosyjski przed rokiem rozporządzający tu wystarczającą ilością żywności wszelakiej, na wiosnę roku bieżącego cierpiał przeważnie głód i żywił się odwarem jakichś korzeni z mlekiem, co się zwało „herbatą" i wbrew zakazowi wyrzynał resztki baranów i wielbłądów. — Wszystko bowiem, co posiadał z żywności zabrali komisarze bolszewiccy, dbali o to, by żołnierze na frontach wewnętrznych i zewnętrznych nie cierpieli głodu. Komisarze spodziewali się, że i w tym roku będą mogli uprawiać swój proceder wypompowywania zboża i bydła ze wsi nadwołżańskich. Niestety przed żniwami musieli wyzbyć się tej nadziei.

Latem ukazała się już awangarda „towarzysza Głodu" — choroby epidemiczne, tyfus i inne choroby, zazwyczaj zanikające tu wiosną. Obecnie istnieje już tam formalny front głodowy.

„Towarzysz Głód" uzupełnia pracę towarzyszy komunistów. Ludność zaczyna wymierać masami".

Zabobonna i ciemna ludność rosyjska, w której rządy bolszewickie nie zdołały wytępić dawnych przesądów, chwyta się najrozmaitszych środków, aby się uchronić od pomoru, szerzącego się z zatrważającą szybkością.

Jednym z nich jest składanie ofiar tak w gotówce, jak i kosztownościach obok zwłok osoby, zmarłej na chorobę zakaźną. Każdy spieszy z datkiem na jaki go stać, na trupa sypią się bezwartościowe bolszewickie monety papierowe, tu i ówdzie padnie sztuka srebra lub nawet złota, bo i cóż komu po niej, gdy za nią nic nie kupi, padają pierścionki i kolczyki, aby przebłagać niebiosa i oddalić widmo zarazy i moru. Następnie zwłoki zmarłego pali się wraz z nagromadzonemi ofiarami, a nie znajdzie się ręka śmiałka, która odważyłaby się coś sobie z tego przywłaszczyć. Lud rosyjski wierzy, że spotkałaby go za to w najkrótszym czasie niechybna śmierć.

Samolotem na Mont Blanc.

Dotychczas turyści, urządzający wycieczki w góry, zwani u nas popularnie taternikami, dokazywali cudów w spinaniu się na niebotyczne wierzchołki, obierając drogę od podnóża skały ku jej szczytowi. Dziś robią im konkurencyę lotnicy, osiągający szczyt skalny od góry, zatem w wprost przeciwnym od tamtych kierunku. I bardzo łatwo zdarzyć się może, że turysta, znalazłszy się po zwalczeniu niesłychanych trudności na niedostępnym szczycie skalnym, na którym dotąd stopa ludzka nie stanęła, zastanie tam już lotnika, który go powita z uśmiechem słowami:

— Ja tu właśnie przed pięciu minutami lekko wylądowałem... Odpocznę z kwandransik i wracam z powrotem... Może pan każe kogo na dole pozdrowić?...

I w sportach zatem wytwarza się konkurencya

W sobotę, dnia 30 lipca b. r. udało się lotnikowi szwajcarskiemu p. M. Durafour'owi wylądować samolotem na Dome du Gouter na szczycie Mont Blanc, 14.000 stóp nad powierzchnię morza.

Areoplany dostały się więc już na wszystkie wysokie łańcuchy gór, z wyjątkiem Himalai i Kaukazu.

Kilkakrotnie odważni piloci próbowali się dostać na szczyty Alp, ale bezskutecznie. W roku 1919 porucznik Ackerman próbował wylądować samolotem na grzbiecie Jungfrauenjoch, tuż poniżej wierzchołka Jungfrau, lecz tak samo, jak i próba przedsięwzięta kilka dni później przez szwajcarskiego lotnika Pillichody, usiłowania te spełzły na niczem.

P. Durafour już we wrześniu r. z. wybrał się samolotem na Mont Blanc, w miejscu umyślnie na ten cel przygotowanem, ale „worki powietrzne" (tak w lotnictwie nazywają się przestrzenie, w których ciśnienie atmosferyczne znacznie się różni od sąsiedztwa i utrudnia żeglugę powietrzną) i wichura zmusiły go do przedwczesnego powrotu do Genewy.



Na ostrzu miecza: Królowa angielska, Marya, w rozmowie z lordem-majorem Belfastu.

Pan Durafour, powróciwszy z wycieczki na Dome du Gouter, leżący o 1.200 stóp poniżej właściwego szczytu Mont Blanc, oświadczył, że nawet za milion franków nie podjąłby się powtórnego wzlotu.

Chamonix, dokąd go podróż powrotna zaprowadziła, opowiadał, że skonstatowawszy w sobotę sprzyjającą pogodę, wyleciał około czwartej rano z Lozanny, a w godzinę potem był na wysokości 15.000 stóp.

„Tu — mówił dalej — okrążyłem dwa razy wierzchołek, szukając odpowiedniego miejsca do wylądowania. Motor funkcyonował wspaniale, ale niebezpieczeństwo „worków powietrznych" było wielkie. Skierowałem mój aparat Caudron w kierunku pola śnieżnego i postanowiłem sobie zginąć albo zwyciężyć. Samolot dostał się w pęd wiatru i pchnięty był w kierunku głębokiej szczeliny lodowca. Lecz udało mi się odzyskać kierunek i w parę minut potem wylądowałem na śnieżnem polu, gładko, jak na lotnisku. Zaledwie wysiadłem, gdy zjawił się sekretarz francuskiego areoklubu, zrobił parę zdjęć i wystawił mi świadectwo mego czynu. Kilku przyjaciół i fotografów, którzy wdrapywali się przedtem, czekało również by mnie powitać. Powrót przedstawiał się nadzwyczaj trudno. Całym pędem starałem się wzlecieć z spadzistego lodowatego stoku, lecz maszyna, zamiast wzlecieć, leciała raczej w lodowatą szczelinę, o której ściany myślałem, że się rozbiję. Ale z wysiłkiem aparat się zrównoważył i wkrótce bujałem bezpieczny w przestrzeni".



Samolotem na Mont Blanc: Wylądowanie na grzbiecie górskim

KOŁDRY

puchowe na wełnie i wacie.

Materace włósienne i powijacze dla niemowląt. Poduszki i pierze gęsie

poleca

JEDYNA KATOL. PRACOWNIA WYROBÓW POŚCIELOWYCH

M. MATUSIEWICZ, KRAKÓW, UL. POSELSKA 20.

Charakter. Przyślijcie charakter pisma, zakomunikujcie imię, rok, miesiąc urodzenia, ile osób najbliższej rodziny: otrzymacie od Szyllera-Szkolnika, psycho-grafologa (autora prac naukowych) szczegółową analizę charakteru, określenie ważniejszych zdarzeń życiowych. Odpowiedzi na szczere zapytania. Analizę wysyła się po otrzymaniu Mk. 300. Praca naukowa Szyllera Szkolnika zaszczycona mnóstwem odezw, podziękowań. Dla badań osobistych przyjmuje od dwunastej do siódmej. Warszawa, Psycho-Grafolog Szyller-Szkolnik, Piękna 25 12. Wątpiącym dowody bezpłatnie.



Książki nadzwyczaj ciekawej treści. — Katalog ilustrowany darmo wysyła Wydawnictwo „Świt" Warszawa, Piękna Nr. 25. Na przesyłkę dołączać znaczek pocztowy.



NAJNOWSZE ŻURNALE MÓD

na sezon jesienny i zimowy 1921/22

oraz **manekiny krawieckie**

już nadeszły do firmy

M. LANDAU, Kraków, ulica św. Krzyża l. 5.

Odsprzedawcom wysyłam na żądanie ofertę.

Istniejący od lat dwudziestu

Handlowo-przemysłowy Związek katol. krawców

Stowarz. zarej. z ogran. poręką.

w Krakowie, Floryańska 7.

przyjmuje zamówienia na ubrania męskie podług miary, z własnego lub powierzonego materyału. Obsługa rzetelna, terminowa. — Suknie dla Przew. Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. Sprzedaż materałów na kostyumy męskie i na damskie.

RATUJCIE ZDROWIE!

Precz z obłudnym wstydem!

Niech żyje świadomość!

SZYLLER-SZKOLNIK (autor prac naukowych) po dokładnem zbadaniu poleca mężczyznom i kobietom, wszystkim, komu zdrowie jest drogie, następujące pouczające książki, nie mające nic wspólnego z pornografją:

Dr ST. BREYER: „Najnowszy obszerny lekarz domowy". Przyczyny, objawy i leczenie wszystkich chorób. W 2 częściach. Duża książka z mnóstwem ilustracyi. Tysiące cennych porad i wskazówek na wszelkie choroby. Cena 300 mk.

Dr JÓZEF GOLDBAUM: „Jak się ustrzedz i leczyć choroby żołądka". Drogocenna książka dla zdrowych i chorych. Wskazówki dla wszystkich, komu zdrowie jest drogie, a przeważnie dla osób cierpiących na żołądek. Cena mk. 150.

Dr Ionddelowitz: „Poradnik lekarski dla mężczyzn i kobiet". Choroby weneryczne. Jak zapobiegać i leczyć. Najobszerniejsze wskazówki co do leczenia rzeżączki „tryper" i wszelkich innych chorób płciowych. Cena mk. 100.

Dr BRAUN: „Samogwałt" u mężczyzn, kobiet, jego skutki, nadużycia płciowe. Niemoc płciowa. Po czem poznać samogwałt. Leczenie. Rady praktyczne dla młodzieży, rodziców i opiekunów. Cena 50 Mk.

Dr PACZKOWSKI: „Jak zapobiegać zarażeniu się chorobami wenerycznemi oraz niemocy płciowej". Mnóstwo cennych rad, wskazówek. Środki ochronne najbardziej wypróbowane ku zapobieganiu. Leczenie. Cena 40 Mk.

Dr KAROL WERNER: Bezsenność. Środki nasenne. Poradnik dla wszystkich. Treść: Znaczenie i istota snu. Bezsenność i jej przyczyny. Leczenie fizyczno-medyczne bezsenności. Środki nasenne i ich działanie. Sen, śmierć pozorna, śmierć rzeczywista. Cena 50 Mk.

Dr L. Be....mont: Małżeństwo i prostytucya. Upadła kobieta. Dwa odczyty w jednej dużej książce. Cena mk. 150.

Dr ARNO KRUCHE: Poradnik dla cierpiących na podagrę i reumatyzm. Treść: Istota reumatyzmu i podagry. Tryb życia, środki leczenia. Reumatyzm mięśniowy. Reumatyzm stawowy. Kąpiele, leczenie reumatyzmu i podagry. Przegląd chorób najczęściej mylnie uważanych za podagrę i reumatyzm. — Dyeta. — Cena 50 Mk.

Dr M. DÜRENFURTH: Epilepsya. Przyczyny, zapobieganie, leczenie. — Treść: Warunki powstania. Dziedziczność. Odróżnienie epilepsyi od innych chorób. Rozmaite formy epilepsyi. Doświadczenie. Zapobieganie i leczenie epilepsyi. Życie i los epileptyków. Cena 100 Mk.

Dr P. WEIGELDT: Jak się mamy żywić, czyli pożytek pokarmów. Zawiera szereg cennych rad i wskazówek co do odżywiania się chorych jak i zdrowych. Cena 30 Mk.

Dr SWETT-MARDEN: Żyć nie umierać! Szereg rad i wskazówek i myśli głębokich słonecznych i rozumnych, wywierających wpływ niezwykle dodatni i ożywczy na zdenerwowane i skołatane troską o byt umysły współczesnych ludzi. Cena 150 Mk.

CH. SZYLLER-SZKOLNIK: Chcesz być odważnym, silnym i energicznym? Chcesz by ludzie ulegali twej woli? Praktyczny podręcznik hypnotyzmu, zawiera wiele nowych rad i wskazówek. W 98 rozdziałach uczy co czynić, by wpływać na ludzi, sugestjonować bez usypiania, odgadywać myśli, wyzbyć się pijaństwa, palenia, onanizmu, gry hazardowej. Cenne i praktyczne wskazówki co robić? jak żyć? by osiągnąć powodzenie i szczęście. Ćwiczenia psychiczne: Najnowsze metody sugestji. Rozwój zdolności, talentu, usuwanie strachu, spotęgowanie woli: usuwanie złych nałogów i przyzwyczajeń. Duża książka, mnóstwo illustracji, wykwintna okładka, ost. wydanie. Cena 950 Mk.

CH. SZYLLER-SZKOLNIK: — RATUJCIE WŁOSY. Wszystkim cierpiącym na łupież i wypadanie włosów wysyła się bezpłatnie broszury, zawierające cenne wskazówki i rady.

ADRES: **SZYLLER-SZKOLNIK Psycho-grafolog Warszawa, Piękna 25/12.**

P. S. Książki wysyłam tylko po otrzymaniu gotówki. Opakowanie i koszta pocztowe przyjmujemy na nasz rachunek. Przy obstalunku na sumę nie mniej Mk. 300·— dodajemy jedną ciekawa książkę bezpłatnie.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

(Kalendarz z 1914-15-16 roku).

Cena 100 Marek polskich.

Jedyny najtańszy dom handlowy

IGNACY CYPRES



Kraków, ul. Szewska 13/N.I.

poleca: nikl. syst. Roskopf mk. 2000, Budzik z przedwoj. werkiem mk. 2500, Skrzypce ze smyczkiem mk. 4500 i wyżej. Harmonie, wiedeński model jednorzędówka mk. 7000, dwurzędówka mk. 12000. Trąby akordeonowe mk. 1500, 2000. Dyamenty do szkła mk. 800, 1000. Brzytwy mk. 500, 600, 700. Maszynki do włosów mk. 1500, 2500. Maszynki do samogolenia mk. 1500, 2000. Pas do brzytwy mk. 250. Kamień mk. 250. Pudła do skrzypiec mk. 2000, 3000. — Wysyłka za zaliczką — Cennik illustrowany za nadesłaniem 20 mk. przekazem.

Kupuje złoto i srebro.

Wielkie korzyści PP. Kupcom i Przemysłowcom

przynosi

abonowanie poniżej wymienionych w całej Polsce znanych i jedynych pism fachowych:

Tygodnik „Kupiec" prenumerata kwart. M. 100·—
„ „Drogerzysta" „ „ 72·—
„ „Przegląd włókniczy" „ 72·—
Dwut. „Dom gościnny" „ 50·—

Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem **2 Marek.**

Adres zamówień:

POZNAN, UL. WIELKA 10.

ADMINISTRACYA Nowości illustrow. odsprzedaje klisze cynkowe z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

!! Kostjumy Płaszcze !!

Swilki

Suknie spacerowe, futra, wierzchy do futer i podszycia futrzane

wykonuje najszykowniej.

Ceny bardzo przystępne.

JÓZEF GAŁĄSKA

Kraków, Floryańska 24. II. p.

Drukarnia D. E. FRIEDLEINA Nowości Illustrowane

poszukuje ucznia z ukończeną II kl. gimn. lub realną (3 wydz.) do praktyki w dziale maszyn.

ZA MĄŻ wyjść lub się OŻENIĆ

można przez jedyne w Polsce pismo „Fortuna". - Red. Kraków, Rynek gł. 11. Nr. 22 do nabycia we wszystkich kioskach, ajencjach pism i na stacjach kolej.

Księgarnia Dra Wł. Miłkowskiego

(Kraków, Floryańska 1.)

sprzedaje niewielką resztę egzemplarzy następujących dzieł, oddawna wyczerpanych w handlu księgarskim:

Bartoszewicz K. Księga pamiątkowa Konstytucyi 3 maja. 2 tomy. — Cena 60 marek.

Bartoszewicz K. Antysemityzm w Polsce do końca wieku XVII. — Cena 120 marek.

Niemcewicz J. U. Powieści poetyczne. — Cena 24 mk.

Rutowski Tadeusz. W sprawie przemysłu krajowego. — Cena 48 marek.

Rutowski Tadeusz. Przemysł cukrowniczy, jego wpływ na rolnictwo. — Cena 36 marek.

Minister **Floryan Ziemiałkowski.** (Kartka z dziejów Galicyi, z portretem). — Cena 24 marek.

„ANTONINA"

Pracownia kapeluszy damskich Kraków, ul. Floryańska L. 13 I. p. oficyny.

Sprzedaż: Kraków, ul. Floryańska L. 14., Hotel „pod Różą" sklep p. J. Nowaka,

poleca na obecny sezon kapelusze w wielkim wyborze po umiarkowanych cenach.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.